

Leslie Davis Guccione

**Podwójne życie  
Lindsey**

*Tłumaczyła  
Urszula Szczepańska*

Tytuł oryginału  
*Major Distractions*  
Pierwsze wydanie  
*Silhouette Books, 1994*

Redakcja  
*Mira Weber*  
Korekta  
*Stanisława Lewicka Maria  
Kaniewska*

© 1994 by Leslie Davis Guccione  
© for the Polish edition by Arlekin - Wydawnictwo Harlequin  
Enterprises sp. z o.o., Warszawa 1999

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji  
części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z  
Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek  
podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych czy umarłych  
- jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy wydawnictwa Harlequin  
i znak serii Harlequin Desire są zastrzeżone.

Skład i łamanie: Studio Q  
Printed in Spain by Litografia Roses, Barcelona

**ISBN 83-7149-412-2**

**Indeks 356948**

DESIRE-390

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- To niemożliwe! Aż tak fatalnie...? Nie, oczywiście, że nie, wracaj do łóżka. Naprawdę, poradzę sobie... Wy myślę coś. Przecież mnie znasz. Zawsze spadam na cztery łapy. - Lindsey Major starła białą plamę pudru ze słuchawki i odłożyła ją na widełki.

- To się nazywa mieć fart - mruknęła pod nosem.

Poprawiła purpurową perukę i wpatrując się w jasno-żółciste mankiety swojego kostiumu, zaczęła stukać nerwowo w zamknięte pudło. Przez szklane drzwi biura „Trzech Życzeń” widziała, że impreza z okazji uroczystego otwarcia trwa w najlepsze. Rodzice przetrząsali ze swoimi rozgorączkowanymi dziećmi kolorowe regały, wypełnione ciasno książkami, edukacyjnymi grammi planszowymi i mnóstwem wymyślnych zabawek. Sklep zajmował połowę dawnej stacji kolejowej w Dorset Mills, w stanie Delaware - malowniczego budynku z mansardowym dachem, który mieścił również pocztę. Na tę pocztę przychodziły do Lindsey pierwsze listy po jej zamążpójściu.

Dorset Mills leży na rozstaju dróg pośród wzgórz oddzielających Wilmington od urodzajnej doliny Brandywine. Należące do rodziny Dorset zbożowe młyny usadowione na obu brzegach rzeki Brandy winę niegdyś, jak setki innych, meły ziarno na mąkę.

Na terenach nadrzecznych Dorset Court kamienne bu-

dynki dawnych młynów zamieniono w latach czterdziestych na ekskluzywne apartamenty i kondominia. Chętni do zamieszkania w nich zapisywali się na listę oczekujących. I niezwykle rzadko nieruchomości te trafiały na wolny rynek. Zazwyczaj sprzedawano je kanałami prywatnymi lub przechodziły jako spadek z rodziców na dzieci. Kiedy Lindsey poślubiła Jonathana Russella, jego nazwisko figurowało na liście od dwóch lat. Gdy rozstawali się na wiosnę przed dwoma laty, dzięki tym samym układom zamieszkał w mniejszym, lecz równie prestiżowym domu z widokiem na rezerwat łowiecki. Mieszkał tam aż do śmierci.

Do dziś nie potrafiła pozbyć się bolesnych wspomnień, choć teraz przyćmiły je kłopoty zawodowe.

- Wiedziałam od początku, że to zły omen - powiedziała do siebie, wyglądając przez okno. Na północy lśniły dachówki ekskluzywnych posiadłości. Odwróciła wzrok, żeby uciec od nieprzyjemnych myśli. - Przedstawienie musi trwać... - Bębniła palcami po udzie, głowiąc się nad zastępczym scenariuszem. Jej życie także musiało toczyć się dalej, więc i to przedstawienie się odbędzie. Na pewno coś wymyśli.

Front budynku udekorowano na tę okazję flagami, a na występ Lindsey przygotowano dużą drewnianą scenę. Żwirowy parking stał się centrum pikniku. Całe rodziny spragnione dobrej zabawy krążyły między stolikami i bufetami pełnymi przekąskami oraz napojów orzeźwiających.

Lindsey dostrzegła Annę Beckford, właścicielkę „Trzech Życzeń”, uśmiechającą się do fotografa i ukradkiem zerkającą na zegarek. Potem Annę zaczęła gawędzić dość nerwowo z mężczyzną w kwiecistej koszuli, który zdawał się zasypywać ją pytaniami. Prasa! Lindsey aż

jęknęła. Amanda Mendenhall, właścicielka firmy, która wynajęła ją na ten występ, rzeczywiście wspominała, że ściągnie kogoś z gazety z Wilmington.

Reporter był, jak by to określiły jej przyjaciółki z college'^ wart drugiego spojrzenia. Przystojny, ubrany w nieco ekscentrycznym stylu, pewny siebie. Z tego, co mogła dostrzec przez okienną szybę, nie podchodził do swojej pracy zbyt entuzjastycznie.

Pewna, że nikt jej nie obserwuje, Lindsey pozwoliła sobie na luksus kilku ukradkowych spojrzeń. Temu mężczyźnie naprawdę warto było się przyjrzeć. Ciemne włosy, ciemne oczy i ta krzykliwa koszula przy tradycyjnych spodniach khaki i zwykłych mokasynach. Jeżeli ubiór świadczy o człowieku, to akurat w jego przypadku nie świadczył o niczym.

W końcu nieznajomy zniknął jej z oczu i mogła powrócić do rzeczywistości. Zastanowiła się nad sytuacją. Ogromne, bladezielone buciska nie pozwalały jej na przechadzkę po pokoju, wystukiwała więc niespokojny rytm pomalowanymi w groszki paznokciami. Przerwała tylko na chwilę, żeby nałożyć bulwiasty, bładniebieski lateksowy nos, przez cały czas trując się nad wymyśleniem jakiegoś planu B.

- Lindsey Major?

Odwróciła się. Reporter stał teraz w progu, uśmiechając się, z rękoma w kieszeniach i przekrzywioną głową. Jego ciemne włosy były gęste i niesfornie zmierzwiłone, a wygięte w łuk brwi zdradzały więcej niż zaniepokojenie. Mierzył ją wzrokiem od stóp do głowy, jakby dobrze wiedział, że przed chwilą i ona robiła to samo. Zaczęła skubać nerwowo kołnierz. Nieznajomy znieacka szeroko się uśmiechnął, co tak ożywiło rysy jego twarzy, że Lind-

sey poczuła się kompletnie onieśmielona. Sekundę później roześmiał się na głos.

- Proszę mi wybaczyć - mruknął.
- Musiałabym panu wybaczyć, gdyby się pan nie roześmiał.

Był przystojny, ale Lindsey skupiła uwagę przede wszystkim na jego koszuli. Z bliska kwiecisty hawajski wzór okazał się dziką plataniną tropikalnych paproci i innych egzotycznych roślin. Mieniła się na jego piersi dziesiątkami kolorów, od czerwonego przez cynober do lawendowego, idealnie pasując do barw jej kostiumu kłowna, lateksowego nosa, peruki i paznokci. Oceniała go na jakieś metr siedemdziesiąt pięć, metr siedemdziesiąt osiem wzrostu. Dziennikarz z szerokimi plecami i wycuciem stylu. W duchu modliła się, żeby miał też poczucie humoru. Rozwiązanie jej problemu było na wyciągnięcie ręki.

- Marko D'Abruzzi - wykrztusił, chichocząc. - Całkiem udane przebranie.

- Dzieciaki lubią niespodzianki. Ten kłown obędzie się bez czerwonego nosa. - Lindsey nacisnęła schowany w mankiecie guzik i roześmianą twarz, wymalowaną na wypchanym tyłku jej spodni, ożywiło szaleńcze migotanie światełek. Marko błyskawicznie cofnął dłoń, którą wyciągnął na powitanie.

- Czy ma pani w dłoni jakiś brzęczyk?
- Niczego nigdy nie można być pewnym. Po prostu musi mi pan zaufać. - Lindsey zatrzepotała mu przed oczami paznokciami w groszki.
- Bezgranicznie. - Oszolomiony Marko zrobił krok do przodu i powtórnie wyciągnął rękę. Lindsey podała mu swoją, pochwyciła jego zdziwione spojrzenie i czekała.

Spojrzał na swoją dłoń i zobaczył w niej kawałek gumy.

- Świetnie! Ma pani w repertuarze więcej takich sztuczek?

- Nie jestem iluzjonistką. Pracuję z pacynkami i opowiadam różne historie.

- Tam już wszyscy czekają. Pewnie szykowała się pani do wyjścia na scenę.

- Niezupełnie. - Błyskawicznie oceniwszy sytuację, postanowiła zdać się na swój instynkt. - Zastanawiam się, w jaki sposób namówić pana na... małe szaleństwo.

- Czyżby kłown składał mi nieprzyzwoitą propozycję?
- Owszem, można to tak nazwać. Znalazłam się w podbramkowej sytuacji.

- To zaczyna do mnie przemawiać.

Lindsey przysunęła się bliżej. Starła się opanować, mając nadzieję, że w tonie jej głosu jest dość zdecydowania i pewności siebie.

- Mam poważny kłopot. Właśnie zadzwoniła moja partnerka. Jest chora, zatrula się. Potrzebowałam jej tylko jako statystki, do niczego więcej. - Wskazała palcem ko szulę reportera, ledwie powstrzymując się, żeby jej nie dotknąć. - Pewnie pan zauważył, że mój kostium i pana koszula, te purpury i czerwienie, znakomicie do siebie pasują.

- Nie, chyba nie chce pani... - Cofnął się o krok.

Bez skrepowania zwichrzyła mu włosy.

- Wystarczy odrobina wody, żeby zrobić z tego cu downe loki. Wolalabym, żeby były lawendowe, ale cie mnobrazowe też ujdą. Może pan włożyć moje buciory. Czubki są wypchane gazetami. - Tym razem wbiła mu palec prosto w pierś. Marko był przerażony.

- Nie. Nic z tego. Przykro mi, że pani partnerka zachorowała, ale nie będę kłownem. Jestem pewien, że wymsli pan coś... albo znajdzie kogoś innego.

- Nie ma na to czasu. - Desperacja, a także anonimowość, którą zapewniał jej pełny makijaż i kostium, pomogły Lindsey wykrzesać z siebie śmiałość, o jaką nigdy by się nie podejrzewała. Chwyliła Marka za ramię i próbowała sobie przypomnieć jego nazwisko. - Panie... Marko, jestem lalkarką, ale zwykle korzystam z drugiego kłowna jako statysty. Potrafię zaimprovizować większość z tego, co miała robić Betsy. Potrzebuję tylko pańskiego ciała.

- Mojego ciała.

- Pańskiego ciała. To ja będę mówiła i wykonywała wszystkie ruchy.

- Co do tego zgoda.

- Niech mnie pan nie przyprawia o rumieńce, bo spłynie mi z twarzy cały makijaż.

- Po tym przedstawieniu jakoś trudno mi sobie wyobrazić, że potrafi się pani rumienić. Naprawdę chciałbym pomóc, ale o czwartej mam następne spotkanie. Poza tym nie bardzo znam się na dzieciach. Nie mam bladego pojęcia, czym je można rozbawić. - Spojrzał przez okno. - A tam na zewnątrz widzę tłum nieznośnych małych łobuziaków.

Lindsey spuściła wzrok i zrzuciła buty.

- I za chwilę, jeśli zły kłown nie wystąpi, ich ufne, niewinne serca zostaną złamane.

Marko wybuchnął śmiechem.

- Najpierw pani flirtuje, a teraz bierze mnie na litość.

- Ja nie flirtuję!

- A ta prośba o moje ciało?

- Potrzebuję statysty, to wszystko.

- Proszę zaprosić do współpracy jakieś dziecko.

- To zepsuje cały efekt.

- Ma pani zadziwiający dar przekonywania.

- Jak widać niedostateczny.

Znowu się roześmiał.

- Łamie mi pani serce, ale naprawdę nie mogę pani pomóc. To spotkanie...

- Skończymy przed czwartą, obiecuję. - Lindsey zatrzepotała swoimi trzycentymetrowymi sztucznymi rzesami i spojrzała mu prosto w oczy. - Naprawdę chcę, żeby to dobrze wypadło.

- Nie jestem aktorem.

- Ani ja. - Lindsey starała się mówić poważnie, zdając sobie sprawę, jak śmiesznie wygląda. - Przede wszystkim jestem redaktorką, wolnym strzelcem - reklamy, broszury, public relations. Ten występ zamówiła u mnie firma Mendenhall i Lipton. Od kilku miesięcy starałam się dotrzeć do jej właścicielki. Trudno u niej dostać pracę, ale to jedna z najlepszych agencji reklamowych i dobrze płaci. Od czasu do czasu występuję z pacynkami, ale na chleb z masłem zarabiam pisaniem. Jeżeli to zawalę, mogę się prześcić modlić o prawdziwą pracę.

- Wyrobi sobie pani reputację albo zamkną się przed panią wszystkie drzwi?

- Los wolnych strzelców zależy są od zdobytych referencji i znajomości. Powiedzmy sobie wprost: Amanda Mendenhall może ogromnie powiększyć moje dochody. W przyszłym tygodniu miałam z nią umówione spotkanie, ale wyjechała na miesiąc w biznesowo-poślubną podróż. Nagle coś jej odbiło i wyszła po raz drugi za swojego byłego męża.

- Wiem.

- W każdym razie wyjechała. Nie zdążyłam dostać od niej zlecenia, na nieszczęście, nie obejrzy też mojego występu. Tylko pan może mnie uratować. Annę Beckford powie jej, że warto we mnie inwestować. Zdaję sobie sprawę, że to brzmi śmiesznie, ale, niech mi pan wierzy, po raz pierwszy błagam całkiem obcego człowieka, żeby wystąpił ze mną w roli kłowna. To dlatego, że jestem w sytuacji bez wyjścia. - Wykonała nieokreślony gest dłonią, zakłopotana nutą paniki w swoim głosie.

- Nie ma pani chyba zamiaru wypłakiwać się na moim ramieniu?

- Wypłakiwać? Oczywiście, że nie.

- Jeśli rumieniec mógłby rozpuścić ten makijaż, boję się nawet pomyśleć, co by zrobiły z nim łzy. Podejrzewam, że najpierw odkleilyby się te rzęsy.

- Nie jestem płaczliwa, panie DeLuca.

- D'Abuzzi.

- Wszystko jedno.

- Marko D'Abuzzi. Biorąc pod uwagę okoliczności, mogłaby pani zapamiętać to nazwisko.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- A teraz popisowa poza prawdziwego mężczyzny - wyszeptła Lindsey do ucha Marka, chrypiąc z południowym zaśpiewem. Tym razem było to prawe ucho i znowu ten szepc wprawił w dygot jego nerwy. Publiczność śmiała się i klaskała, a Marko wciągał powietrze, nadymał klatkę piersiową i opierał dłonie na biodrach.

Udział w przedstawieniu kukielkowym redaktorki-lalkarki był ostatnią rzeczą, którą zaplanowałby sobie na weekend. Na czwartą umówił się na mecz tenisowy, a potem czekało na niego mnóstwo zaległej pracy. Nagle po jego prawym ramieniu zaczął tańczyć zrobiony ze skarpetki baranek. Potem skarpetkowe jagnię zabrało się do lizania mu żeber, czekając na bee-bee-bee, które Lindsey cichutko wybekiwała mu prosto do ucha. Czuł na policzku jej oddech. Jego skóra nie mogła zdecydować się, co lepsze - gęsia skórka czy gorący rumieniec. Znieruchomiał z wrażenia.

Kiedy opowiadała swoje niezemskie historie, baranek tańczył po jego naturalnie kręconych włosach. A niech to! Rano, jak zwykle, poświęcił mnóstwo czasu na ich prostowanie, a teraz wystarczyło kilka kropli wody i króciutki masaż szczupłych palców Lindsey, żeby skrzyły się na nowo.

- Nie umywają się do mojej peruki, ale mogą być

- stwierdziła po tym zabiegu, kiedy czuł jeszcze na głowie gęsią skórę.

Gdy skończyła nakładać mu na twarz makijaż kłowna, czuł, że nie wydobędzie z siebie ani słowa. Palila go skóra od czubka głowy po szyję. Teraz, kiedy dzieciarnię rozbawiało hasające po jego piersi jagnię, zupełnie nie w porę i całkiem nie na miejscu seria błogich dreszczy przenikała całe jego ciało. Dotyk kłowna Lindsey w jednej chwili był wszędzie, a zaraz potem nigdzie, pozostawiając po sobie wrażenie, które w równym stopniu koło go i denerwowało. Trzydzieści rodzin oglądało jej popisy, a on dziękował niebiosom, gdy silna wiosenna bryza wdarła się pod rękawy jego koszuli, przynosząc chwilową ulgę.

- Ukłoń się teraz nisko - usłyszał.

Pochylił się, a baranek i jagnię staraniem lalkarki powędrowały w górę, po jego kręgosłupie, docierając aż do włosów. Stał tak, pochylony w niskim ukłonie, dopóki Lindsey nie zabrała swoich pacynek i nie ukloniła się także. Jej bosc stopy wyzierały spod poszarpanej koronki pantalonów. Przed oczami mignął mu czerwony lakier na paznokciach. Odruchowo chwycił jej dłoń i uśmiechnął się do publiczności, świadomy, że ona odwraca się do niego. Niesamowicie błękitne oczy kłowna Lindsey zakrężyły się pod frędzlami sztucznych rzęs.

Z każdym wybuchem aplauzu publiczności kłaniali się razem. I za każdym razem palce Lindsey zaciskały się mocniej na jego palcach.

- Spodobaliśmy się - wyszeptał, a ona znowu obrzucała go zdziwionym spojrzeniem.

Kiedy publiczność zaczęła się rozchodzić, Marko, w ogromnych buciskach kłowna, głośno tupiąc, powędrował za Lindsey. Miał ochotę wziąć ją za rękę, jak chwilę

wcześniej na scenie, i iść za nią dalej, na parking skąpany w promieniach zachodzącego słońca, gdziekolwiek, gdzie byliby sami i gdzie mógłby poddać się jej czarom. Powiedziała, że nie jest czarodziejką, ale ta kobieta w przebraniu kłowna, kimkolwiek była, nadała nowe znaczenie słowu „fantazja”. Marko D'Abruzzi nie miał nic przeciwko temu, żeby być obiektem jej czarów.

- Masz wrodzony talent - powiedziała, gdy wchodzili do biura.

- Posługujesz się pacynkami w taki sposób, że trzeba to zobaczyć, żeby uwierzyć... albo poczuć, jak w moim przypadku.

- Dzieciaki uwielbiają pościgi.

- Znam dorosłych, którzy też w tym gustują. - Marko usiadł na krawędzi biurka. - Mam nadzieję, że uwolnisz mnie od tej tapety na twarzy.

- Będzie przy tym trochę roboty. - Lindsey wręczyła mu paczkę papierowych chusteczek i wetknęła rękawiczki za kołnierz rozpiętej koszuli.

Zamknął oczy. Przytrzymując jedną ręką jego włosy, drugą zaczęła ścierać z twarzy biały puder. Cudowne uczucie powróciło i Marko znowu mógłby przysiąc, że jej dłoń drży.

- Szkoda, że nie widziała nas Amanda Mendenhall. Sądzę, że pozytywnie oceniłaby ten występ. Jest strasznie wymagająca.

- Potrafisz rozgrzewać ludzi.

Zapadło niezręczne milczenie. Lindsey naprawdę drżała ręką. Wpatrywała się nieruchomo w chusteczkę, a potem wyczyściła sobie nią dłonie.

- Marko, sądzą, że sam powinienes sobie z tym poradzic.

Spojrzeni na siebie. Kontrast między białym pudrem a gęstymi ciemnymi rzęsami sprawiał, że oczy Lindsey wydały się niemal granatowe, przepaściste jak głębia górskiego stawu. Wręczyła mu słoiczek nafty kosmetycznej w żelu.

- Resztę makijażu zmyjesz tym, a potem mydłem z wodą. Tam jest łazienka.

Jeżeli Lindsey Major prowadzi jakąś pokerową zagrywkę, to nie jest to odpowiednia pora, żeby ją sprawdzać. Marko odczekał chwilę i odstawił słoiczek na biurko.

Nagle Lindsey znowu dotknęła jego ramienia.

- Marko, przepraszam. Co się dzieje z moją głową? Nie powinnam była mówić czegoś takiego.

- Czegoś takiego? - powtórzył bezwiednie, usiłując przypomnieć sobie jakieś zdanie, którego ta dziewczyna mogłaby żałować.

- To, co powiedziałam o Amandzie Mendenhall, powinno pozostać między nami.

- Interesy? - Z trudem wrócił do rzeczywistości. - Rozumiem. Nie ma sprawy.

- Jakie spotkanie masz o czwartej?

- Tenis.

- Pisziesz o sportowcach?

- Nie... skądże. Sam gram co tydzień.

Lindsey Major zdumiewała go. Była przecież tylko kłownem. Nie widział jej twarzy ani figury, nie rozpoznałby jej bez kostiumu, nawet gdyby pojawiła się na wyciągnięcie ręki. Mimo to każdy jej dotyk sprawiał mu erotyczną przyjemność. Nie mógł tego nazwać inaczej. I był święcie przekonany, że ona o tym wiedziała.

- Masz przy sobie wizytówkę? - zapytał, żeby podtrzymać rozmowę.

- Chodzi o interesy?
- A przyszło ci coś innego do głowy?
- Oczywiście, że nie.

Nagle świadomość, że nie może zobaczyć wyrazu jej twarzy, zbiła go z tropu. Czuł się przez to dziwnie przejrzysty, młodzieńczo otwarty. Zerknął na jej palce w poszukiwaniu obrączki, pomimo że jej brak łatwo mógł wytłumaczyć rolą kłowna, a nie wolnym stanem cywilnym, ale tak czy inaczej... Ta kobieta miała styl, który osłabiał w nim poczucie dystansu. Jej bezceremonialna śmiałość prowokowała go, jej determinacja niesłychanie mu imponowała.

- Powodzenia w pracy - powiedział niepewnie, gdy podała mu wizytówkę.

- Dzięki.

Oboje na chwilę zamilkli.

- Lindsey, doszło tu do pewnego nieporozumienia.

- Mam nadzieję, że nie zrozumiałeś mnie... opacznie. Znalazłam się w niezręcznej sytuacji...

- To akurat może poczekać. Najpierw ja powinienem ci coś wyjaśnić.

Usłyszeli pukanie do drzwi i odwrócili się jednocześnie.

- Pani Major? Jestem Sarah Brant z „Morning News”. Zrobiliśmy tu parę niezłych zdjęć. Czy znalazłaby pani czas na krótki wywiad?

Marko wstrzymał oddech. Miał poczucie winy i przeklinał pechowy zbieg okoliczności. Kiedy kłown zaważał się i odwrócił z powrotem do niego, zmarszczył twarz w bezradnym grymasie.

- Nie rozumiem, przecież rozmawiałam już z dziennikarzem - powiedziała Lindsey.



- Właśnie zamierzałem ci to wyjaśnić - potulnie wtrącił Marko. - Jestem dyrektorem artystycznym firmy Mendenhall i Lipton. Mam nadzieję, że pozwolisz mi wytłumaczyć to nieporozumienie podczas kolacji, po moim meczu tenisowym.

- Dyrektor artystyczny firmy Amandy Mendenhall?

- Tak.

- I pozwoliłeś mi tak gadać i gadać... Nic nie powiedziałeś.

- Staralem się. Więc co z dzisiejszym wieczorem?

- Oczywiście, że nic!

Zerknęła na zegarek.

- Zatem najlepsze, co mogę zrobić, to prosić cię o wybaczenie jutro rano. Wpadnij do biura po czek. Wtedy wszystko ci wyjaśnię.

#### ROZDZIAŁ TRZECI

- Nie zapomnisz? O wpół do czwartej mam trening baseballu.

- Lexie, kiedy wrócisz ze szkoły, będę już w domu.

- Lindsey ucałowała swoją ośmioletnią pociechę.

- Mam teraz na imię Alex, mamusiu, mówiłam ci przecież.

- Dla mnie jesteś Aleksandrą Major Russell, kochanie, bez względu na to, jakie sobie wymyśliłaś przydomek.

- Wybrałam Alex, bo gram w baseball, tak jak ty w pracy używasz nazwiska Major.

- Dostyc tego. Postaram się zapamiętać twoje nowe imię.

Świadomie postanowiła używać w pracy panińskiego nazwiska. Lindsey Major, redaktorka, pisarka - to imię i nazwisko drukowano w książce telefonicznej i w gazetach na stronach z ogłoszeniami. Zaś Lindsey Russell, samotna matka trójki dzieci, prowadzi ciche, spokojne życie.

Na dźwięk warkotu silnika szkolnego autobusu Lindsey przypomniała sobie o swoich sześcioletnich bliźniętach.

- Hej, dzieciaki, zbierajcie się! Wasz rydwan nadjechał.

- Co mi przygotowałaś na lunch? - spytała Brooke, całując matkę w policzek.

- Piernik z makiem i sałatkę z pasternakiem.

- Pewnie - zakpił jej braciszek. - To znaczy, że kanap-

kę z kielkami i z szynką albo z czymś jeszcze gorszym. Dlaczego musimy jeść takie rzeczy? Matka Andy'ego Sterna daje mu na lunch prawdziwe lody i taaki wielki kawał ciasta.

- Justinie, ja nie jestem mamą Andy'ego. - Lindsey pocałowała syna na pożegnanie.

- Może byście w końcu wyszli - popędzała bliźniaki Lexie. - Gdybyście mieli wykupiony lunch w szkole, jak wszystkie normalne dzieci, nie musielibyście wcinać zdrowych kanapek mamy.

Pisk hamulców autobusu i świst otwieranych drzwi przerwały im rozmowę. Lindsey stała na podjeździe, dopóki cała trójka nie weszła do środka, a potem zamknęła za sobą frontowe drzwi domu i znowu zaczęła myśleć o Marku. Od wczorajszego popołudnia robiła to bez przerw.

W czasie jazdy do Wilmington zgrzytała zębami, roz-pamiętując ich nieszczęsną, idiotyczną rozmowę po występie. Pozwolił jej mówić o Amandzie, pozwolił pleść o tym, jak bardzo potrzebuje pracy i jak bardzo zależy jej na zrobieniu dobrego wrażenia na właścicielce agencji reklamowej. Przypomniała sobie ostatnie pięć minut ich spotkania i wpadła w furję. Furię podszytą upokorzeniem.

Z drugiej strony, ten sam Marko pojawił się jako zupełnie obcy człowiek w jej zaimprovizowanej garderobie, przystał na jej szalony plan, pozwolił się ubrać w kostium kłowna, nałożyć sobie makijaż i zrobić z siebie przedstawienie przed tłumem dzieci i ich rodziców. Za to należało mu się uznanie. Gdyby tylko jej nie podrywał i nie udawał reportera. Oczywiście musiała przyznać, że nie był natarczywy i nie przekroczył granic niewinnego flirtu, ale też nie miała najmniejszych wątpliwości, że sprawy posunę-

łyby się o wiele dalej, gdyby mu na to pozwoliła. I gdyby sobie na to pozwoliła...

Marko zrobił na niej piorunujące wrażenie. Przypomniała sobie, jak łomotało jej serce, kiedy przyglądała mu się przez okno biura „Trzech Życzeń”. Ale ona z nim nie flirtowała. Wątpiła nawet, czy pamięta, jak to się robi. Na tym etapie życia to w ogóle nie wchodziło w grę.

Do diabła, jak niewiele brakowało, żeby wdała się w romans. A przecież los trojga dzieci zależy od jej rozsądku i umiejętności dbania o własne interesy. Nie, pan Marko jakiś tam, asystent kłowna w hawajskiej koszuli, nie sprowadzi jej na złą drogę. Choćby dlatego, że jest facetem, który ma jej wręczyć czek z wypłatą.

Przedzierając się przez uliczne korki, wciąż rozmyślała o wczorajszym przedstawieniu, choć najchętniej wyrzuciłaby je z pamięci. Co ją podkusiło? Obmacywać faceta, jakby był manekinem... Wodzić rękami po jego torsie, po tych szerokich ramionach, po żebrach... Co ona sobie wtedy myślała?

Nie myślała w ogóle. I na tym polegał problem. Tak jej zależało na tym przedstawieniu, że zapomniała o rozsądku. Powinna była skorzystać z rady Marka i improwizować z jakimś dzieckiem. Prowokowała go, wicherząc mu włosy, nakładając na twarz puder, a potem wycierając mu policzki, jak gdyby był jednym z jej dzieci. Czy może winić go za to, że źle zrozumiał jej intencje?

Podjechała na prywatny parking agencji Mendenhall i Lipton. Swoją drogą, w tym Marku było coś uwodzicielskiego - w tym niepokojącym błysku w jego oczach, w braku skrępowania... Wszelkiej maści podrywacze i uwodziciele zawsze się koło niej kręcili, była do tego

przyzwyczajona. Tylko że tym razem sprawiło jej to przyjemność...

- Opamiętaj się - mruknęła do siebie, parkując samochód.

Zatrzasnęła drzwi i spojrzała na zegarek. Miała dość czasu, żeby odebrać czek, a potem skoczyć na drugą stronę ulicy do The First Trust, gdzie musi zostawić maszynopis dla „Bravo”, miesięcznego biuletynu, który opracowywała dla Towarzystwa Operowego Brandywine Valley. Perspektywa drugiego spotkania złagodziła jej obawy. Zostanie z Markiem nie dłużej, niż będzie to konieczne.

Agencja Mendenhall i Lip ton działała od niedawna, a wieść niesła, że nie ma w niej nadętych, zarozumiałych typów, z których słynęła branża reklamowa. Co prawda Lindsey była tam tylko raz, żeby omówić przedstawienie kukielkowe i ewentualną przyszłą współpracę, ale to wystarczyło, żeby docenić ich przyjazne nastawienie. Jako wolny strzelec często musiała znosić zachcianki chimerycznych szefów, żeby otrzymać dobrze płatne zlecenie. I nie raz przyjmowała pracę, która niewiele ją obchodziła, od ludzi, którzy robili na niej jej jeszcze gorsze wrażenie.

Wiedziała, że agencja Amandy Mendenhall uważana jest w branży za firmę z perspektywami rozwoju. Właścicielka tu i ówdzie dawała do zrozumienia, że agencja dostaje więcej zleceń, niż jest w stanie wykonać samodzielnie. Lindsey postanowiła przekonać twardą, ale sprawiedliwą szefową, że to właśnie ona może rozwiązać jej problemy. Ale nie bardzo jej odpowiadało, że pod nieobecność Amandy zmuszona będzie przekonywać o tym Marka.

Recepcjonistka, Karen Winters, siedziała przy biurku w holu, z którego prowadziły drzwi do kilku małych prze-

szklonych boksów biurowych. Z jej miny wynikało, że zapamiętała Lindsey.

- Miałam spotkać się z Markiem i odebrać czek.

- Tak, uroczyste otwarcie „Trzech Życzeń”. Słyszałam, że oczarowała pani te dzieciaki.

- Naprawdę? Dzięki.

- Oczywiście pani utalentowany asystent przypisuje sobie ten sukces. - Karen roześmiała się. - Nie mam pojęcia, jak go pani do tego namówiła, ale żałuję, że nie widziałam Marka w akcji. Te jego straszne hawajskie koszulki nadają się wyłącznie na strój kłowna.

- Jakie on, do diabła, nosi nazwisko? - Lindsey ściszyła głos.

- D'Abuzzi, przez dwa z - poinformowała ją Karen.

- Nie musi pani szeptać. Wskoczył po śniadanie do sklepu za rogiem. Zaraz wróci. Może pani poczekać w jego pokoju.

Marko wszedł do holu z kwaśną miną i z torbą świeżych, pachnących bułeczek. Złość go brała na myśl o kolejnym pospiesznym posiłku przy desce kreślarskiej.

- Przepracowany i źle opłacany - mruknął pod nosem, podchodząc do biurka Karen.

- Zostaw te żale dla kogoś bardziej współczującego. Masz gościa.

- Klient? Chyba nie Patrowski! Mówiłem mu przecież, że projekt tej broszury będzie gotowy po trzeciej.

- To nie jest Jack Patrowski.

- Więc kto?

Karen uniosła brwi.

- Jeśli to miał być komentarz do mojego prywatnego życia, to trafiłaś jak kulą w płot. Od wyjazdu Amandy

zajmuję się wszystkim, z wyjątkiem połowów do mojego śpiwora.

Odwrócił się i zerknął przez szybę do swojego pokoju. Przy desce kreślarskiej stała jakaś blondynka. Przyglądała się szkicom przypiętym do wiszącej na ścianie tablicy. Miała modnie przycięte, krótkie włosy. Różowa bawełniana bluzka otulała kształty, na których chętnie zatrzymałby wzrok trochę dłużej, gdyby nie gapiała się na niego Karen. Nieznajoma była w prostej spódnicy, rozciętej z tyłu do kolan, i w pantoflach na płaskich obcasach.

- Nie jesteś w galerii sztuki - upomniała go Karen.

- Próbuję ją jakoś umiejscowić w pamięci. - Marko uśmiechnął się. - Jestem sterany pracą, ale zapamiętałbym, gdyby ktoś taki pojawił się w moim prywatnym życiu.

- Zapominasz się, D'Abruzzi.

- To chyba nie jest Lindsey Major? - wyszeptał, zerkając na zegarek.

- Lalkarka we własnej osobie. Może ofiarowałbyś jej tę hawajską koszulę do kolekcji kostiumów.

- Moje ubrania świadczą o mnie - odpowiedział Marko, poklepując zielono-żółty pulower, o jaskrawym wzorze w kształcie bananowców. Ruszył w kierunku pokoju, a gdy stanął w progu, jego gość się odwrócił. Lindsey byłaby jeszcze ponętniejsza, gdyby się uśmiechała. Podniósł do góry papierową torbę.

- O, cześć. Z jagodami czy z otrębami? Usiądź.

- Nie, dziękuję. Jestem umówiona.

- A czek?

- O czek poproszę. I o kilka słów wyjaśnienia.

Śledził wyraz jej twarzy. Teraz, bez błazeńskiego makijażu i przebrania, zwyczajnie go onieśmielała. Widząc

jej zaciśnięte usta i pamiętając, w jaki sposób pożegnali się poprzedniego dnia, doszedł do wniosku, że rumieniec na policzkach Lindsey jest naturalny.

- Wczoraj chyba wszystko poszło jak należy?

- Gdybym wiedziała, kim jesteś, nigdy bym cię nie poprosiła o pomoc.

- Dlaczego?

- I na pewno bym ci się nie zwierzała.

- Nie oczekiwałem zwierzeń.

- To moja wina, ale ty powinieneś się przedstawić.

Postawił mnie w bardzo niezręcznej sytuacji.

Marko, zajęty porównywaniem stojącej przed nim kobiety z głosem i dłońmi kłowna, z trudem koncentrował się na jej słowach.

- Próbowałem. Zanim zdążyłem się połapać, zaczęłaś mi opowiadać o Amandzie. Chciałem to przerwać, ale było już za późno. Strasznie byś się zdenerwowała, gdybym się wtedy przedstawił, a w końcu miałaś przed sobą występ. Pewnie na moim miejscu postąpiłabyś tak samo.

- Sądziś, że udawałabym kogoś, kim nie jestem? Wątpię.

- Nie miałem zamiaru nikogo udawać. Od momentu, w którym wszedłem do tego biura, nie dawałaś mi dojść do słowa. Parłaś na oślep do celu.

- Byłam zdesperowana.

- I bardzo przekonująca.

- A ty czujesz się absolutnie niewinny. - Lindsey pozwoli zaczynała tracić panowanie nad sobą. - Pozwoliłeś, żebym cię wzięła za...

- Wzięłaś mnie, za kogo chciałaś. I nic złego się nie stało. Znalazłaś statystę, a przedstawienie wypadło rewe-

lacyjnie. Uratowałem sytuację. Okazałem się bohaterem, a ty odniosłaś sukces.

- Wybacz, ale nie zaliczyłabym cię do kategorii bohaterów. Poza tym było w tym coś więcej i dobrze o tym wiesz.

- No tak, rodzaj flirtu.

- Chwileczkę!

- Nie rób sobie wyrzutów. Potrzebowałam na gwałt pomocy i skłoniłaś mnie do współpracy. To mi bardzo pomogło. Jesteś naprawdę dobra.

Oczy Lindsey płonęły, ale zdobyła się na uśmiech.

- Nie próbuj odwracać kota ogonem.

- A może byś wzięła na siebie część winy?

- Czy mogłabym po prostu wziąć swój czek i zrezygnować z dalszej części tego seansu psychoanalitycznego?

- Poprzestanę na odrobinie staromodnej uczciwości.

Nic nie szkodzi, że wiem, jak bardzo ci zależy, żeby dla nas pracować. Wiem też, że jeśli chcesz czegoś naprawdę, to staniesz na głowie, żeby to osiągnąć. Więc nie róbmy z tego problemu.

#### ROZDZIAŁ CZWARTY

Marko zdjął ze stołka stos papierów. Kiedy w końcu Lindsey zdecydowała się usiąść, chwycił jej dłoń i uśmiechnął się.

- Nie ma już purpurowych paznokci w groszki.

- Wielu rzeczy już nie ma.

- Czy dobrze rozpoznaję lekki południowy akcent?

- Zmieniasz temat i pozwalasz sobie na osobiste wybieczki.

- To ty rozczochrałaś mi wczoraj włosy i wędrowałaś palcami po moim ciele. To uprawnia mnie do takiego zachowania. - Czekaj, aż rumieniec na twarzy Lindsey bardziej się zaogni.

- W taki sposób zarabiam na życie.

- To było rutynowe pytanie. Wszystkich kłownów pytam o ich akcent. A więc Wirginia? Północna Karolina?

- Pochodzę z Raleigh, z Północnej Karoliny. Wyjechałam stamtąd zaraz po szkole.

- To był college dla kłownów?

- Anglistyka. - Lindsey zachichotała mimowolnie. - Duke University.

Marko zagwizdał.

- Opowiedz mi o pacynkach. Może się kiedyś i mnie przydadzą.

- Zaczęło się w college'u. Pracowałam jako wolontariuszka w uniwersyteckim szpitalu i przedstawieniami ku-

kielkowymi zabawiałam chore dzieci. A teraz lalkarstwo powiększa moje dochody.

- Których główna część pochodzi z pisania.

- Tak. Liczyłam, że wspomnisz o tym w swoim artykule, bo myślałam, że jesteś reporterem.

- Wspomniała o tobie Sarah Brant. Jej artykuł znajdziesz w porannej gazecie, w dziale biznesowym. Uroczyste otwarcia, lokalni rzemieślnicy, edukacyjne zabawki, to co zwykle. Opowiedziała też o naszym przedstawieniu, dodając, że twoim głównym zajęciem jest pisanie, redagowanie i public relations. Notatkę tę znajdziesz pod zdjęciem rozanielonego dzieciaka przy piknikowym stoliku

- Marko uśmiechnął się. - Możliwe, że to ja go tak oczarowałam.

- Chciałbyś.

- Przyznasz chyba, że stanowiliśmy wspaiały zespół. Nic nie szkodzi, że musiałem wciąż słuchać o twoich planach i ambicjach. I że wiem, jak bardzo ci zależy na współpracy z naszą agencją. - Nachylił się nad biurkiem.

- Amanda jest wymagającym szefem. To jej sposób wyzwalania w ludziach tego, co w nich najlepsze.

- Wolalabym, żebyś nie powtarzał jej tego, co powiedziałam, kiedy wróci. Poza tym masz wolną rękę i możesz ten artykuł położyć na jej biurku.

- Dobrze. - Marko roześmiał się.

- Za chwilę mam następne spotkanie. Mogę prosić o czek?

- Jest u Karen na biurku.

- Dobrze, już ci schodzę z oczu.

- Wątpię, żeby agencja Mendenhall i Lipton nie doceniła takiej osoby jak ty. - Kiedy Marko uśmiechnął się do rozpromienionej Lindsey, zadzwonił telefon.

- Zapamiętaj to i zaczekaj sekundkę.

Dzwonił miejscowy drukarz z pytaniem o krój czcionki do wydawanej właśnie broszury. Marko wstrzymywał Lindsey gestem dłoni, ale ona postukała palcem w zegarek i wyszła.

O drugiej zdenerwowana Lindsey wybiegła z banku przy Rodney Square i ruszyła z powrotem do Stowman Place. Wiosenny wiatr siekł chłodnym deszczem. Przypomniała sobie, że musi przygotować dla Alex kurtkę na trening baseballu. Chwilę później Karen po raz drugi tego dnia skierowała ją do pokoju Marka.

Siedział na wysokim stołku przy desce kreślarskiej, odwrócony plecami do drzwi i całkowicie pochłonięty pracą. Kiedy chrząknęła i nie doczekała się odpowiedzi, weszła do środka i położyła mu dłoń na ramieniu. Jeśli nawet go zaskoczyła, nie dał tego po sobie poznać.

Najdziwniejsze, że ona sama była zaskoczona. Tego rodzaju poufałość zupełnie do niej nie pasowała. Nie zwykła analizować motywów swojego zachowania, ale choćby nie wiem jak się przed tym faktem broniła, istniała między nimi jakaś intymna więź, która wydawała się całkiem naturalna.

Marko odwrócił się z uśmiechem. Jego rozbrajająca mina wyrażała zdziwienie i radość. Podobne twarze widywała niezliczoną ilość razy podczas swoich kukielkowych przedstawień.

- Lindsey, spodziewałem się ciebie. Pewnie chcesz, żebym podpisał ten czek.

- Wiedziałeś? Zauważyłam brak podpisu w banku. Marko, jeśli to był podstęp...

- Podstęp?

- Żeby mnie tu ściągnąć z powrotem.
- Jedyne, co muszę zrobić, żeby cię tu ściągnąć, to zaproponować ci kolejne zlecenie.
- Zakłopotana bezmyślnością swojej uwagi, tym razem naprawdę się zarumieniła.
- Po wczorajszym dniu naprawdę nie wiem, czego się po tobie spodziewać. Przepraszam.
- Próbowałem cię uprzedzić. To znaczy, poprosić, żebyś wzięła czek od Karen i wróciła z nim. Myślałem, że wychodzisz na chwilę, a kiedy zorientowałem się, co się stało, już cię nie było. A swoją drogą, dokąd poszłaś?
- Na Jedenastą Ulicę, do innego klienta.
- Do konkurencji.
- Trzeba coś jeść.
- Dobrze. Nareszcie się zgadzamy. Co byś powiedziała na wczesny obiad?
- Nie, dziękuję. Muszę wracać do domu. Spotkanie w towarzystwie operowym trochę się przeciągnęło.
- Towarzystwo operowe! Oglądasz ich przedstawienia?
- Czasami dają mi wejściówki. Lubisz operę?
- Oczywiście. W klanie D'Abruzzich miłość do opery wysysa się z mlekiem matki.
- Postaram się zapamiętać. - Lindsey wręczyła mu czek.
- Co robisz dla towarzystwa operowego?
- Opracowuję biuletyn, broszury okolicznościowe, dwa razy w roku zbieram dla nich fundusze. Zajmuje się wszystkim, co trzeba. Dziś chodziło o nagłe poprawki, korektę, tematy do następnego numeru. Nuda.
- Szanuj to, dzięki czemu masz chleb - to dewiza założycielki naszej agencji. Słuszna, dzięki niej się rozkrę-

- camy. Nie ma błyskotliwych sukcesów, twórczej satysfakcji, oklasków bez ciężkiej solidnej pracy.
- Jestem dobra w jednym i drugim.
- Nie wątpię. - Roześmiał się, wręczając jej czek. - Nie zmienisz zdania w kwestii obiadu?
- Nie, naprawdę nie mogę przyjąć twojego zaproszenia.
- A późny lunch?
- Odmówiła, kręcąc głową.
- Mąż czeka?
- Lindsey wstrzymała oddech. Miała nadzieję, że Marko nie słyszy, jak łomocze jej serce.
- Nie mam męża.
- A więc ktoś ważny?
- Nie mieszam życia towarzyskiego z zawodowym.
- Dajesz mi kosza dla zasady. - Wpatrywał się przez moment w podłogę, w jakiś nieokreślony punkt na wykładzinie. - Kobieta z zasadami - mruknął jakby do siebie.
- Z wieloma zasadami.
- Gdybym nie zajmował stanowiska dyrektorskiego, wspólny obiad byłby możliwy?
- Ale je zajmujesz, Marko.
- Jednym słowem, żeby cię znowu zobaczyć, będę musiał znaleźć dla ciebie jakieś zlecenie.
- Chyba tak. - Lindsey z całych sił udawała opanowanie, ale przychodziło jej to coraz trudniej.
- Zasady - zaśmiał się cicho, jakby dziwiąc się samemu sobie.
- Wiele zasad.
- Marko wziął od Lindsey czek i podpisał go jako wiceprezes firmy. Kiedy go oddawał, ich dłonie spotkały się.

- Mówiąc szczerze, nalegałem, bo wczoraj robiłaś na mnie zupełnie inne wrażenie.

- Myliłeś się.

- Myliłem się - westchnął. - Tylko tyle? A gdzie święte oburzenie, gdzie wybuch wściekłości?

- Potrzebowałam twojej pomocy i tak długo cię namawiałam, aż się zgodziłeś. Przyznaję, byłam natarczywa, i przepraszam, jeśli źle rozumiałeś moje intencje. Jestem ci wdzięczna za pomoc w przedstawieniu, a twoje zaproszenie mi pochlebia.

- Ale to, czego naprawdę oczekujesz, to zlecenie?

- Oczywiście.

- I jestem na straconej pozycji?

- Marko, podejrzewam, że nawet nie pamiętasz, kiedy ostatnio byłeś na straconej pozycji. Musiało ci tego brakować.

Kiedy wychodziła z pokoju, Marko wciąż się śmiał.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Zdarzały się dni - a ten do nich należał - w które Lindsey zastanawiała się, czy praca w charakterze wolnego strzelca ułatwiła jej życie, czy wprost przeciwnie, skomplikowała je nie do zniesienia. O wpół do piątej, kiedy klęcząc, wciągała Justinowi przez głowę podkoszulek, pomyślała o zaletach pełnoetatowej pracy na stałe. Pozwoliłoby to jej skoncentrować się na karierze, a dzieci mogłaby popołudniami zostawiać pod opieką jakiejś godnej zaufania osoby.

Jednak nawet gdyby znalazła odpowiednią świetlicę albo prywatną opiekunkę, nadwerżyłoby to już i tak chwiejny budżet. Brała też pod uwagę pracę na pół etatu. Wracałaby wtedy do domu przed przyjazdem szkolnego autobusu. Ale przecież teraz miała podobną sytuację i była nią kompletnie wyczerpana. Czuła się jak w potrzasku.

Taką dyskusję z samą sobą przeprowadzała dość często, jednak dziś pojawił się w niej nowy element. Przy Marku D'Abruzzim czuła się przezroczysta jak celofan, może nieco podkolorowany, z własną fakturą, ale nieznośnie prześwitujący. Te oczy przesłonięte gęstymi rzęsami przenikały ją na wskroś, wykorzystując każdą szczelinę, wkradając się w najintymniejsze myśli. Odczuła nagłą potrzebę, żeby je chronić.

Seksualne napięcie - nie przychodziło jej do głowy żadne lepsze określenie - narastało w niej od chwili, gdy



Marko przekroczył próg zaimprovizowanej garderoby w biurze „Trzech Życzeń”. Wiedziała, co czuł, była tego pewna. Wiedziała też, niestety, że on wie, iż ona czuła to samo. Niedobrze. Igra z losem. Sama prosi się o kłopoty. Żeby tak znowu być tylko kłownem w białej masce...

Zdażyła na sam koniec treningu Aleksandry. Bliźnięta szalały na pobliskim placu zabaw. Postanowiła przestać myśleć o Marku. Popołudnia należały do dzieci - żadnych zleceń, spotkań ani erotycznych fantazji.

Baseball stał się pasją najstarszej córki, a jej upór, żeby dostać się do drużyny grającej w małej lidze, rozczulił Lindsey. Po pierwszym tygodniu treningów Lexie zażądała, by zwracać się do niej Alex. W drugim zaczęła narzekać, że chłopcy tylko odsuwają ją od gry albo podrywają, i zapowiedziała, żeby nikt z rodziny nie przychodził jej oglądać.

Lindsey postanowiła dowiedzieć się, czy kłopoty Alex wynikają z braku umiejętności lub pewności siebie, czy też wyśmiewa się z niej jakiś pędrak, który uważa, że miejsce dziewczyn jest w lidze softballowej.

O wpół do szóstej skręciła na podjazd prowadzący do ich małego domku. Justin rozpiął pasy i przeskoczył na przednie siedzenie.

- Chcę kurczaka na kolację.
- Masz szczęście, Jus, na kolację jest właśnie kurczak.
- Chodziło mi o kurczaka na wynos, no wiesz, „czary mary kurczak z curry”.
- Za często oglądasz telewizję.
- Mama Andy'ego Sterna kupuje to każdego dnia, kiedy wraca z pracy.
- Coś takiego! To on codziennie wcina na lunch lody i ciasto, a wieczorem zajada się smażonymi kurczakami

na wynos. Musi być najszczęśliwszym chłopakiem w pierwszej klasie.

- Mówiłem ci.
- Nie wiesz, kiedy mama żartuje, Justinie? - Alex kręciła głową, wysiadając z samochodu. - Ona uważa, że od takiego jedzenia spróchniałyby ci zęby i wysiadło serce.
- A twoje serce wysiada przez Ryana Hammela.
- To nie twoja sprawa, wścibski smarkaczu.
- „Siedziałam obok niego na ławce przez pół meczu. Było bosko”. - Justin przedrzeźniał Alex, która aż zawyla z wściekłości. - „Uważa, że Lexie to dziecięce zdrobnienie, Alex bardziej mu się podoba, więc teraz jestem Alex”.
- Podsluchujesz moje rozmowy telefoniczne, ty mały, wstrętny, nędzny tchórz! Mamo!

Justin wyskoczył z samochodu i zaczął uciekać, a rozjuszona Alex biegła za nim przez podwórko. Brooke zlekceważyła całą tę awanturę i przeszła przez ulicę, dołączając do dzieci z sąsiedztwa.

- Spokój! Macie natychmiast przyjść do domu, kiedy was zawołam! - krzyknęła zrezygnowana Lindsey i po wlokła się do kuchni, żeby odgrzać kurczaka w rosole, którego nikt nie chciał jeść.

Kiedy w końcu wszyscy zasiedli do stołu, skarciła Justina i zrobiła mu wykład o szacunku dla prywatnego życia drugiej osoby. Temat Ryana Hammela postanowiła odłożyć na stosowniejszą porę. Alex zamiast Lexie, bo jakiemuś chłopcu to zdrobnienie bardziej się podoba... Przez chwilę obserwowała córkę. Za wcześniej na kłopoty z mężczyznami, za wcześniej dla nich obu.

Kolacja, kąpiel, praca domowa Alex, jej niechęć do rozmowy o Ryanie, bajki na dobranoc i uparte powtarzanie, że wszystko idzie świetnie. Tak minął Lindsey wie-

czór. Dochodziła dziesiąta, kiedy zaparzyła herbatę ziołową i ruszyła z kubkiem gorącego napoju do malutkiego gabinetu przylegającego do saloniku, dawnej słonecznej werandy.

Włączyła odtwarzanie automatycznej sekretarki telefonu.

- Lindsey? Tu Marko. Zadzwoń, jak tylko znajdziesz trochę czasu. Teraz jest po szóstej, jestem w domu, mój numer to 555-5512. Nigdy nie śpiam.

D'Abruzzi 555. To numer z Dorset Mills. Przewertowała książkę telefoniczną, ciekawa, gdzie taka artystyczna dusza jak Marko D'Abruzzi może mieszkać. Drst Ct. Poczuła szarpiący ból w piersi. To przecież dawny adres Jonathana.

Wykręciła numer Marka. Po czwartym dzwonku spodziewała się już sygnału automatycznej sekretarki, usłyszała jednak niewyraźne „Halo?”

- Marko?

- Lindsey? - Nie zdołał powstrzymać ziewnięcia.

- Obudziłam cię? Przecież nigdy nie śpisz.

- Chciałem mieć pewność, że zadzwonisz. Miałem męczący dzień. Chyba przesadziłem trochę z pracą w domu. Ale przejdźmy do rzeczy - zaczął mówić całkiem przytomnym głosem. - Ponieważ jedynym sposobem, żeby znów cię zobaczyć, jest zlecenie, mam coś dla ciebie.

- Nie sądzę, żeby Amanda w podobny sposób prowadziła agencję - odpowiedziała po chwili.

- Chciałaś jej zaimponować i pojawiła się taka szansa.

- Marko?

- Musisz jeść, potrzebujesz pieniędzy. Dobrze zapamiętałem?

- Co mi proponujesz?

- Niestety tylko pracę.

- Bardzo zabawne.

- Po południu dostaliśmy zamówienie od Okręgowej Komisji Energetyki. Amanda ubiegała się o nie od roku - lunch, wino, te wszystkie tradycyjne metody.

- Mów dalej.

- Dwa tygodnie temu Amanda przedstawiła im oficjalną ofertę. To był majstersztyk. Zadzwoiłem do niej do Seattle i przekazałem dobre wieści. Teraz to ja muszę zrobić wrażenie, i na nich, i na niej, i jak najszybciej zrealizować pierwszy projekt. Oczywiście potrzebne będą teksty. Spadłaś mi jak z nieba.

- Nie powinieneś skonsultować tego z Amandą?

- Prawdę mówiąc, to był jej pomysł.

- Nie wierzę.

- Przysięgam. Możemy porozmawiać o tym jutro, podczas lunchu?

- Nie jadam lunchów.

- W naszej branży wszyscy to robią. To będzie służbowy lunch, Lindsey.

- Goni mnie robota. Lunch rozbija mi cały dzień, a muszę jutro coś napisać. Mogę się zgodzić najwyżej na śniadanie.

- Proponuję ci pracę. Czy nikt ci nigdy nie mówił, że jeśli zależy ci na zleceniu, a dzwoni wiceprezes agencji, to on stawia warunki?

- Nie przypominam sobie.

- Nikt nie załatwia interesów przy śniadaniu.

- Nikt oprócz mnie. - Lindsey uśmiechnęła się, słysząc niezadowolone w jego głosie.

- O której pogańskiej godzinie?

- Zacznesz wcześniej swój dzień pracy. Może być wpół do dziewiątej?

- Rano?  
- Jestem tego warta, i skończ już z narzekaniem. Marko, posłuchaj... Zastanawiałam się nad tym... i doszłam do wniosku, że musimy zawrzeć pewien układ.

- Następny warunek?

Lindsey zrezygnowała z rozmowy o flirtach i cienkich aluzjach, bo prowadziłyby to tylko do flirtu i cienkich aluzji, choćby nawet przez telefon. Znowu westchnęła.

- Żadnych warunków. Opowiedz mi o tym zleceniu.

- Rano.

- Zgoda. Ty zrobisz kawę, ja przyniosę gorące bułeczki.

- Nie ma mowy - wybuchnął śmiechem. - Zrobimy to jak należy. Kawę w biurze i bułeczki ze sklepu zostawiam na następne spotkania. Czekam na ciebie w Brandywine Room w hotelu DuPoint.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Marko patrzył w milczeniu, jak Lindsey sący kawę, spoglądając na wiszący na ścianie obraz. Udało mu się jakoś powstrzymać kolejne ziewnięcie. W sali niósł się cichy, usypiający szmer rozmów gości hotelowych i biznesmenów. Wolałby obiad w hotelowym angielskim pubie. I bardziej prywatną rozmowę zamiast dyskusji o terminach i kroju czcionek. Mimo to było lepiej, niż się spodziewał.

Chociaż przyszedł dziesięć minut za wcześnie, w hotelowym foyer zobaczył czekającą na niego kobietę, która wyglądała jak zabłąkany promień słońca. Żadnego kostiumu w prążki, obowiązkowych pantofli na wysokich obcasach, żadnej dyplomatki. Była w rozpiętej pod szyją cytrynowej bluzce i w kremowych gabardynowych spodniach. Światło padające na jej włosy mieniło się wszystkimi odcieniami złota. Odwzajemnił jej uśmiech, ale nie był w stanie ukryć senności.

- Nikt o tej porze nie powinien wyglądać tak rzeško - powiedział, gdy kelner przyjął od nich zamówienie.

- Wszystko zależy od pierwszego wrażenia. Gdybyś ni stąd, ni zowąd zaczął ubierać się jak finansista, to i tak zawsze będę pamiętać tę twoją hawajską koszulę.

- Jeżeli najbardziej liczy się pierwsze wrażenie, to ja zapamiętałem twoje fioletowe paznokcie i zgnięte tenisówki.

- Przepraszam, że poruszyłam ten temat.
  - Nie mówiąc o lawendowym nosie.
  - Kostium robił wrażenie. A właśnie o to chodziło.
- Chętnie by jej opowiedział, jakie wrażenie zrobiła na nim. Ale nie był takim głupcem, żeby łączyć przyjemność z interesami, a Lindsey Major stanowiła fascynującą kombinację jednego i drugiego.
- Przyszłość pokaże, jak nam się ułoży współpraca. W każdym razie to jest nasze pierwsze śniadanie biznesowe
  - odpowiedział, wyglądając fałdy na sportowej kurtce.
  - Wyglądasz dziś jakoś szaro. Żadnych hawajskich wzorów? Żadnych bananowców?
  - Śniadanie z klientem w Brandywine Room wymaga bardziej konserwatywnego stroju. - Poglądził swój jedwabny krawat, na którym - gdy mu się dokładniej przyjrzała - dostrzegła drobnutki wzór w postaci różnokolorowych rybek.
  - Jasne. - Zaniósł się śmiechem, radosnym i ożywczym jak pierwsza filiżanka kawy.
- Zaczęli jeść angielskie gorące bułeczki nadziewane marmoladą w różnych smakach, a potem kelner przyniósł im patere z owocami.
- Pyszne śniadanie - Lindsey odstawiła swoją kawę
  - ale nie traćmy czasu. Teraz mi wszystko opowiedz.
  - Kolumbijska fasolka, arcydzieło kucharzy z DuPonta. Bułeczki własnego wypieku.
  - Nie to miałam na myśli.
  - Jestem chłopakiem z miasta. - Uderzył się w pierś.
  - North End w Bostonie. O miłości mojej rodziny do opery już wiesz. Jej członkowie są też zagorzałymi fanami Red Socksów, sławnej bostońskiej drużyny baseballowej. Studiowałem w Boston Academy.

- Przejdźmy do interesów. - Wyjęła z torebki pióro i notatnik. - Otwórz wreszcie tę teczkę, którą trzymasz na kolanach.
- Jeżeli się upierasz.
- Upieram się.
- Koordynatorem jest facet o nazwisku Mark Desmond, dyrektor odpowiedzialny za public relations. Jego firma zamierza wprowadzić w życie pięcioletni program edukacji ekologicznej oparty na specjalnych projektach dla różnych odbiorców. Chcą zacząć od cyklu zajęć na temat odzyskiwania surowców wtórnych dla uczniów wszystkich szkół w Delaware, publicznych i prywatnych. Dla niższych klas projektuję książeczkę z obrazkami. - Marko wyjął z teczki szkice. - Ten projekt był częścią prezentacji Amandy i nasi kontrahenci zaakceptowali go. Żeby posunąć się dalej z pracą, potrzebuję tekstów na napisy pod obrazkami. Dla starszych klas opracujemy inną szatę graficzną dla tych samych postaci.
- I potrzebne będą następne teksty.
- Tak. Napiszesz jedno i drugie do moich ilustracji.
- Brzmi to obiecująco. - Lindsey odsunęła talerz i zaczęła przeglądać szkice. - Możesz mi je pożyczyć na kilka dni? Kiedy skończę bieżące zlecenie, wezmę się do tego, Zacznę jutro wieczorem, czyli w środę.... Przyniosę ci coś w piątek rano, zgoda?
- Wymyślisz coś tak szybko?
- Roboczą wersję.
- No, no, tempo godne pozazdroszczenia.
- Trzeba coś jeść.
- Już o tym wspominałaś. Lubię zdeterminowanych redaktorów, takich szczupłych i wygłodzonych. Piszą z nerwem, a w końcu o to chodzi.

- Z kim jeszcze będziesz rozmawiał o tym zleceniu?
- Z nikim, chyba że sobie nie poradzisz.
- Poradzę sobie.
- Masz jakieś inne zobowiązania, o których powinienem wiedzieć?
- Żadnych - odpowiedziała Lindsey po chwili milczenia.
- A co z zaplanowanymi na najbliższą przyszłość przedstawieniami kukielkowymi?
- Nie przeszkodzą mi w pisaniu.
- Pytam z czystej ciekawości.
- Bibliotekarka z biblioteki dziecięcej w Bancroft Parkway zamówiła mnie na niedzielne popołudnie.
- Zawiadom mnie, jeśli będziesz potrzebowała partnera.
- Byłeś całkiem niezły. - Lindsey zerknęła przelotnie na Marka, potem szybko opuściła głowę i utkwiała wzrok w szkicach.

Marko przypisał swój dziwnie przyspieszony puls działaniu kofeiny. Ale jeśli była na tym świecie kobieta, która potrafi pobudzić człowieka do życia tak wcześnie rano, to siedział właśnie obok niej. Nawet w tej konkretnej rozmowie co chwila zmieniała głos, przechodząc od kociego mruczenia do rzeczowego tonu i odwrotnie. Wahała się, gdy sądził, że będzie zdecydowana, i nieugięcie broniła swego, kiedy oczekiwał milczącej zgody. Całe jej ciało iskrzyło napięciem, pulsowało energią od czubka głowy aż po pięty.

Podał jej drugi komplet ilustracji.

- Wyraźna, lekka kreska. Podoba mi się twój styl. - Lindsey przeglądała rysunki z przesadną uwagą.
- Delikatny, ale przemyślany.

- Nadaje się do interpretacji na różnych poziomach.
- Mój styl?
- Nie, twój projekt. - Lindsey uśmiechnęła się. Pokiwał głową. Żadnego droczenia się. Słyszając jego żart o występie w bibliotece, ledwie uniosła brwi. Gdy dopijała kawę, wyjął z teczki papiery. Zauważył, że Lindsey go obserwuje. Znad filizanki spoglądały na niego te same jasnozielone oczy, jakie widział pod osłoną sztucznych rzęs pamiętnego niedzielnego popołudnia. Lindsey Major miała zmysłowe, obiecujące spojrzenie. Nie minęły jeszcze dwie doby od chwili, gdy to spojrzenie po raz pierwszy go zahipnotyzowało. I znowu całkowicie poddał się jego urokowi.
- Ta praca przyniesie mi wielką satysfakcję - powiedziała Lindsey.
- Nie większą niż mnie.

Lindsey jęknęła, burząc palcami włosy. Pozostało jej tylko skończyć trzydziestosekundową reklamę dla towarzystwa operowego i mogła zabrać się do realizacji zlecenia od Mendenhall i Liptona. Tylko że nic mądrego nie przychodziło jej do głowy - żadna gra słów, żadne zgrabne zdanie. Obróciła się na krześle i utkwiała wzrok w ekranie komputera, potem spojrzała na galerię rodzinnych fotografii ustawionych na biblioteczce.

Postanowiła, że nie będzie wspominała o dzieciach swoim partnerom w interesach, i nie widziała powodu, żeby inaczej postąpić wobec Marka. Samotni albo bezdzietni profesjonaliści, tacy jak Amanda Mendenhall czy Marko D'Abruzzi, nie przyjmują wymówek typu zapalenie ucha dziecka w razie zaważenia terminów, co zawsze może się zdarzyć. Mówiąc o dzieciach i o sprawach za-

wodowych, naraziłaby się na zarzut braku profesjonalizmu, na co nie pozwoliłby sobie żaden wolny strzelec płci męskiej.

Na razie jej pociechy tryskały zdrowiem i jeszcze parę godzin miały posiedzieć w szkole. Nie myślała o nich, chociaż patrzyła nieprzytomnym wzrokiem na ich zdjęcia. Nie potrafiła się skoncentrować. W głowie miała chaos, który przyprawiał ją o gorączkę.

Lindsey Major, jako profesjonalistka, potrafiła przenikliwie oceniać ludzkie charaktery, szczególnie tych twórczych, przebojowych osób, z którymi na co dzień miała do czynienia. Na długo przed pamiętnym przedstawieniem kukielkowym jej instynkt zawodowy, podziw dla poziomu artystycznego projektów Mendenhall i Liptona, wzbudziły w niej niepewność, czy podoła wyzwaniu, jeśli ta firma zaproponuje jej współpracę.

Nigdy dotąd nie zdarzyło się, żeby Lindsey Major, jako kobieta, zmuszona była powściągać swoją wyobraźnię, zanim jeszcze usiądzie przed komputerem. Musi wyrzucić z niej Marka D'Abruzziego, który ciągle wynurzał się z natrętnej podświadomości. Musi pozbyć się wspomnienia jego głosu. Zapomnieć, że przesuwała swoimi pacynkami po jego plecach, dotykała jego twarzy i włosów.

Coś się z nią działo, coś niebezpiecznego, za co winiła Marka, nie dopuszczając do siebie myśli, że to budzi się w niej samej. Nie pierwszy raz w życiu poczuła zmysłowy pociąg do mężczyzny w tej samej chwili, kiedy go zobaczyła. I to ją martwiło najbardziej.

Na widok Jonathana Russella przemierzającego kampus Duke University oszalała z zachwyty i podniecenia, i myślała, że to nigdy nie minie. A jednak równie błędnie

oceniła samą siebie, jak i obiekt swoich uczuć. Konsekwencją tej pomyłki musiała być katastrofa.

Burzliwe, pełne wybojów życie z Jonathanem, separacja, poczucie winy, pojednanie, głęboki żal po jego śmierci, wszystko to wypaliło ją wewnątrz. Tak jej się zdawało.

Potrzebowała tylko pracy - szansy pisania dla Amandy Mendenhall - a nie jej przebojowego, utalentowanego i bardzo pewnego siebie dyrektora artystycznego. Marko D'Abruzzi był w stanie wyczarować różę z uszpiętego pączka. Fala pożądania zaczęła powoli, ale nieuchronnie przenikać skórę Lindsey, aż poczuła mrowienie na piersiach pod bawełnianą bluzką. Mimo że była sama, z furią i wypiekami na twarzy poderwała się z krzesła. Podeszła do okna i zaczęła przyglądać się płataninie kolczastych krzaków płożących się po ogrodzeniu sąsiadów.

O wpół do szóstej jedno spojrzenie na przygarbioną sylwetkę Alex i jej powłóczysty chód wystarczyło Lindsey, żeby ocenić nastrój córki, która w końcu wsiadła do samochodu, zostawiając za sobą kolegów z drużyny.

- Cześć, kochanie. Mam nadzieję, że pozwolisz mi kiedyś popatrzeć, jak grasz.

- Nie ma na co patrzeć. Nie wiesz, że jestem do niczego? - Dziewczynka spojrzała na matkę ze złością i wytarła łzy brudną koszulką.

Lindsey nachyliła się, żeby ją przytulić, ale Alex odsunęła się i zapięła pasy.

- Nie potrzebuję żadnych głupich uścisków! Nie jestem dzieckiem. Chcę wrócić do domu i koniec.

Lindsey włączyła pierwszy bieg i wyjechała z parkingu.

- Więc weźmiesz długą, gorącą kąpiel. To pomaga.

- Ty zawsze wiesz, co pomaga! Nic mi nie pomoże. Mam w nosie baseball. To nie jest gra dla dziewczyn. Nie wiadomo po co się pchałam na boisko.

- Założę się, że to Ryan Hammel ci dokuczał - zapisał Justin z tylnego siedzenia. - I to na pewno on powiedział, że jesteś do niczego.

- Zamknij się!

- To ty się zamknij... Lexie.

- Mam na imię Alex, głupi gnojku.

- Mamo!

- Dostyc tego! Uspokójcie się oboje.

- Mamo, powiedz jej coś. Zawsze na mnie krzyczysz, jak mówię „zamknij się”. A jej to wszystko wolno!

- Dostyc! - Lindsey zatrzymała się na poboczu i policzyla do dziesięciu. - Alex, przeproś Justina. Wiem, że jesteś zdenerwowana.

- Wcale nie jestem!

- Justinie, postaraj się zrozumieć. Nawet dorośli mówią czasem rzeczy, których nie chcieli powiedzieć, jeżeli są źli albo w czymś im się nie powiodło.

- Właśnie, tak jak ty i tata. I zobacz, jak to się skończyło - odpowiedział chłopiec.

Lindsey zamknęła oczy i oparła czoło o kierownicę. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Widzisz, mama przez ciebie płacze.

- Już dobrze. Po prostu jestem zmęczona i nie mam nastroju, żeby was godzić. Justinie, zapnij pasy i usiądź wreszcie. Straciłam przez was głos. - Poklepała córkę po kolanie. - Alex, głowa do góry. Justinie, wiem, jak bardzo przeżyłeś śmierć taty. To był wypadek samochodowy, kochanie. Nasze kłótnie nie miały z tym nic wspólnego.

- Ani z tym, że on mówił coś, czego nie chciał powie-

dzieć, a ty mówiłaś to, czego nie miałaś na myśli. Słyszałem to miliony razy - dokończył Justin.

- Mam nadzieję, że kiedyś mi wreszcie uwierzysz.

- Dobrze grał w baseball. Pomógłby Alex.

- I to jest jeszcze jeden powód, dla którego tak nam go brakuje. A teraz jedźmy do domu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Marko? Cześć, mówi Lindsey Major.
- Cześć! - Lindsey! Nie wyobrażał sobie przyjemniejszej niespodzianki. Wyciągnął się na kanapie, gotowy do kolejnej rundy słownych potyczek, które zaczęły mu się nieodłącznie kojarzyć z ich znajomością.
- Nie jest za późno na rozmowę o interesach?
- Ależ skąd. Jakieś kłopoty? - Wyczuł napięcie w jej głosie. - Lindsey?
- Miałam zły dzień. Jestem po prostu zmęczona. Przepraszam, że niepokoję cię w domu.
- Liczę, że nie na mój rachunek.
- Nie.
- Przepracowałam się, bo musiałam skończyć poprzednią robotę, żeby zabrać się do naszej? Jeżeli tak, to Mendenhall i Lipton mogą poczekać. Wypij trochę gorącego grogu i poleż z wysoko ułożonymi nogami. Zadzwońisz do mnie rano. Albo daj mi swój adres, to ja ci przygotuję ten grog.
- Czuję się świetnie, naprawdę - westchnęła.
- Marko przycisnął mocniej słuchawkę do ucha, wcisnął się w miękką kanapę i zrzucił mokasyny.
- Z piątkiem to był twój pomysł. Przedłużmy to o weekend, jeśli potrzebujesz więcej czasu.
- Nie, nie w tym rzecz. Marko? - W głosie Lindsey

wciąż drżało jakieś tajemnicze napięcie. Znowu głęboko westchnęła.

- Mów dalej.
- Nie, nie powinnam była do ciebie dzwonić, będąc w takim nastroju. Mam... drugi telefon. Zaraz wracam.
- Nim Marko odpowiedział, rozmowa została na chwilę przerwana. Radość, jaka sprawił mu telefon Lindsey, zmąciło uczucie niepokoju i zakłopotania.
- Marko? - Jej głos wyrwał go z zadumy.
- Słucham.
- Dzięki, że poczekałeś. - Zabrzmiało to, jakby Lindsey mówiła przez chusteczkę.
- Mów dalej - powtórzył, coraz bardziej zaciekawiony. Kobieta, której tak bardzo zależało na wizerunku silnej i niezależnej, najwyraźniej walczyła, żeby nie stracić panowania nad sobą. Rozkleił się. Kobięcie łązy zawsze tak na niego działały, ale obraz Lindsey siedzącej samotnie przy biurku, opuszczonej i przygnębionej, był tak nieoczekiwany, że przejął go bólem.
- Dzięki. Naprawdę. Dochodzi dziesiąta. Nie powinnam była dzwonić. Mam tylko jedno pytanie, może dwa.
- Nie powinnaś pracować do tak późna. Co cię tak wyprowadziło z równowagi?
- Naprawdę nic takiego. Niepotrzebnie dzwonię.
- Przestań mówić głupstwa. Lindsey, ty nie jesteś sobą. Powiedz mi, dlaczego. - Zerknął na zegarek. - Daj mi adres, zaraz do ciebie przyjadę.
- Od śniadania dziesiątki razy wyobrażał sobie, jak może wyglądać jej biuro. Czasem myślał, że jest eleganckie, nowoczesne, czasem, że byle jakie, ciasne i zagracone. Tylko ją zawsze widział w żółciach, odcieniach złota i cytryny, tak jak była ubrana w hotelu.



- Nie, nie, naprawdę wszystko jest w porządku. Zadzwońłam, żeby zapytać o twoje rysunki. Mam pewne kłopoty z interpretacją drugiego i trzeciego z pierwszego zestawu. Zanim wezmę się do pisania, powinieneś je ze mną przejrzeć - powiedziała opanowanym już głosem, choć Marko wyczuwał, że kosztowało ją to sporo wysiłku.

- Oglądasz je o tej porze? Trochę za późno, żeby zaczynać nową pracę. Przecież jesteś kompletnie wykończona.

- Marko, nie martw się z łaski swojej o godziny mojej pracy.

- Martwię się o to zlecenie - skłamał. - Jeżeli naprawdę chcesz dzisiaj dalej pracować, z przyjemnością wpadnę i wyjaśnię, o co mi chodziło.

- Nie powinnam była dzwonić - powtórzyła Lindsey po dłuższej przerwie. - Chyba cię zdenerwowałam. Boisz się, że zawalę robotę i będziesz musiał tłumaczyć się przed Amandą. Nie martw się, Marko, nie zawiodę cię.

- Ani mi się waż.

- Tak jest, proszę pana. - Lindsey roześmiała się cicho.

- Powinnaś to robić częściej. Lubię twój śmiech. Ma cudowne brzmienie.

- Marko...

- A ja znam się na śmiechu.

- Źle mnie zrozumiałeś. Właściwie wcale nie chciałam rozmawiać o pracy.

- Czy to kłopoty finansowe tak cię rozstroiły? Wspominałaś, że musisz jeść, żeby żyć. Mendenhall i Lipton z przyjemnością wypłaci ci zaliczkę.

A może ona nie ma żadnego biura? Może pracuje w jakiejś nędznej małej kawalerce? Na wizytówce, którą znalazł w kartotece Amandy, widnieje numer skrytki pocztowej

w jej w Talleyville, północnym przedmieściu Wilmington. Na tę samą okolicę wskazuje numer jej telefonu.

- Nie, dziękuję, po prostu chciałam zapytać o twój projekt.

- Jak długo pracujesz na własną rękę?

- Marko, Amanda już przeprowadziła ze mną taki wywiad.

- Po prostu jestem ciekawy.

- Jak zwykle. - Nutka rozbawienia pojawiła się w jej głosie. - Trzy lata.

- A przedtem?

- Przedtem pracowałam na pół etatu. Dostyc już tego przesłuchania, Sherlocku. Możemy przejść do rzeczy?

- Właśnie próbuję to zrobić.

- Przestań grać rolę detektywa. Masz rację, jest późno, a ja jestem zmęczona. Zajmijmy się tymi rysunkami, dobrze? I pohamuj swoją ciekawość.

Im bardziej ją naciskał, tym mocniej biło mu serce. Od początku próbował tłumaczyć to ciekawością. Lindsey ciekawiła go jak diabli, ale ciekawość nie wyjaśnia naglego przyspieszenia tętna na dźwięk jej głosu ani ataków pożądania na jej widok.

- Lindsey, jestem chyba równie zmęczony jak ty, ale żeby zrozumieć, o co ci chodzi, muszę zobaczyć te rysunki. Zanim mi przerwiesz, posłuchaj, co mam do powiedzenia. Jeżeli nie chcesz, żebyś wpadł do ciebie, jest inne wyjście. Dopóki nie wróci Amanda, mogłabyś korzystać z jej-gabinetu. Przywieź projekt i pracuj przy jej biurku. Gdybyś miała jakieś pytania, będę w pokoju obok. Szybko ciebie uporamy się z robotą i wcześniej dostaniesz swoje pieniądze.

- Zgoda.

- Zgoda? - Aż usiadł z wrażenia. - Tak po prostu? Nie muszę ci grozić, przekonywać na tysiąc sposobów, przyjeżdżać po ciebie i zawlec cię tam siłą?
- Nie, uważam, że to sensowna propozycja.
- A niech to! Chyba po raz pierwszy przyznałaś mi rację.
- W tej jednej sprawie. - Zaśmiała się i tym razem był to głęboki, znajomy śmiech.
- Nareszcie znów się roześmiałaś po swojemu.
- Bo czuję się lepiej.
- To dobrze. A teraz powiedz mi, w jakiej sprawie naprawdę zadzwoniłaś.
- Żebyś wyjaśnił mi znaczenie tych rysunków.
- Jeszcze niczego nie wyjaśniłem, a ty już przyznałaś, że czujesz się lepiej.
- Bo tak jest.
- Tak po prostu? - Marko opadł z powrotem na poduszkę i uśmiechnął się. Ta kobieta go zadziwiła.
- Miałam ciężki dzień. Kiedy przyjrzałam się twoim rysunkom i zdałam sobie sprawę, że nie wszystko jest dla mnie jasne, byłam zbyt zmęczona, żeby sama się nad tym głowić. Nie powinnam się do tego przyznawać, ale zadzwonić było łatwiej.
- Minutę temu o mało się nie rozplakałaś.
- Nic podobnego.
- Wiem bez pudła, kiedy kobietom puszczają nerwy.
- Marko...
- Jestem znawcą kobiet. Pochlebiam sobie, że wyczuwam ich najdziwniejsze kaprysy i nastroje.
- Znalazł się znawca kobiet! Nie jestem kapryśną wariatką i panuję nad swoimi nastrojami.
- Musisz wiedzieć, że wychowywałam się z trzema

- siostrami. Dzielilem z kobietami pracownię, a kiedyś nawet mieszkanie. Amanda, moja współpracownica w interesach, też jest bez wątplenia kobietą. Nie mogę narzekać na brak doświadczeń w tym względzie.
- Nie wątpię. Przyzwyczaiłeś się do tego, że kobiety lgną do ciebie jak muchy do miodu.
- Naprawdę sprawiam takie wrażenie?
- Mniejsza o to, jakie sprawiasz wrażenie - zaśmiała się kpiąco Lindsey. - Ta rozmowa zeszała na zbyt osobiste tory.
- Jesteś fascynująca.
- Fascynująca czy nie, jeżeli twoja propozycja jest aktualna, to chciałabym usiąść za biurkiem o wpół do dziewiątej rano. Otworzysz biuro tak wcześnie?
- Jeśli nie ja, to Karen przywita cię z należytymi honorami.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Jak mucha do miodu - mruzczała do siebie Lindsey, wchodząc następnego ranka do agencji. Było jej lekko na duszy, nogi jakby same ją niosły i choć nie chciała tego wiązać z ich wieczorną rozmową, jednak nie znajdowała innego wytłumaczenia dla swego dziwnego nastroju.

Takie zwykłe zadowolenie było uczuciem, o jakim dawno już zapomniała. Pogłębiające się przez lata małżeńskich nieporozumień urazy i frustracje sprawiły, że gdzieś po drodze zatraciła odruch spontanicznej radości. A Marko D'Abruzzi nie. Odkąd go poznała, czuła się coraz lepiej, a świadomość własnej kobiecości dodawała jej pewności siebie.

Marko przywitał ją gościnnym uśmiechem, wskazując drogę do gabinetu Amandy.

- *Bonjour* - zażartowała.
- Francuski. Biegły?
- Raczej nie. *Tres chic* - dodała.
- *Grazie tante. Lei e molto gentile*. To o mnie czy o biurze?
- O tobie. Co za krawat!
- Zwykle nie noszę krawatów - Marko zdjął go i schował do kieszeni - ale mam później spotkanie z następnym klientem. Pomaga w rozmowie. Ach, *la cravatta*.
- Doskonały włoski?
- Tak, jestem doskonałym Włochem.

Lindsey zaczynała podejrzewać, że to prawda.

- I skromnym. Lubię to u mężczyzn.
- Lindsey, oboje dobrze wiemy, że w reklamie nie ma miejsca na skromność. Śmiałość, pewność siebie, pomysłowość - tak. Ale nie skromność! Tę samą zasadę stosuję do mojej garderoby. Strój świadczy o człowieku. Ty wyglądasz jak zabłąkany promień słońca.
- Od samego rana prawisz mi komplementy? - westchnęła.
- Zakładam, że niewielka dawka pochlebstw postawi cię na nogi.
- Zabierzemy się wreszcie do pracy? Mam napięty grafik.
- *Scusa*.
- Proszę po angielsku.
- Staram się stopić nieco lody.
- Signor D'Abruzzi - Lindsey mimowolnie się uśmiechnęła - nie wątpię, że pana urok roztopiłby nawet lodowiec, gdyby zaistniała taka konieczność. A teraz przejdźmy do interesów, jeśli łąska. Możemy to przejrzeć?
- Oczywiście - odparł z powagą Marko.
- Lindsey położyła na biurku szkice, a obok rzuciła swoje materiały. Zerknęła na Marko, zaciekawiona nagłą zmianą tonu w jego głosie.
- Sądzę, że stworzymy całkiem niezły zespół.
- Zaczynamy więc.
- Znowu się uśmiechnęła. Nic nie mogła na to poradzić.

Przypuszczenia Marka potwierdziły się. Stanowili wspaniały zespół. Uzupełniali się. *Simpatico*, powiedziałby Lindsey, gdyby miał więcej śmiałości. Gdyby miał więcej śmiałości, już wczoraj by ją pocałował i nie byłby

to pocałunek przyjacielski... Powstrzymywały go wyznawane zasady, zdrowy rozsądek i satysfakcjonująca świadomość, że instynkt go nie zawiódł. Lindsey Major miała lekkie pióro, genialne pomysły, a do tego jakiś szósty zmysł, który sprawiał, że rozumieli się niemal bez słów.

Pochylał się z Lindsey nad rozłożonymi na biurku Amandy szkicami i zdawało mu się, że znowu jest dzieckiem, które tarza się po wełnianym dywanie w samych skarpetkach. Iskrzyło między nimi jak między dwiema burzowymi chmurami.

Następnego przedpołudnia Lindsey śmiała się otwarcie i radośnie. To, co Marko czytał w jej spojrzeniach, ośmiało go, choć wiedział, że Lindsey prowokuje go mimo woli. Po półgodzinnych konsultacjach zostawił ją samą. Wrócił do swojej deski kreślarskiej, ale ich pokoje dzieliła cienka ściana, więc nie był w stanie się skupić, wyobrażając sobie Lindsey w sąsiednim pomieszczeniu.

O wpół do dwunastej zapukała w jego otwarte drzwi, weszła i wręczyła mu gotowe teksty.

- Mógłbyś na to rzucić okiem? Zaraz wychodzę.
- Taki krótki dzień pracy?
- Przeciwnie, długi. Mam jeszcze kilka innych spraw do załatwienia.

Marko czytał napisane przez Lindsey teksty, a ona patrzyła mu przez ramię. Pachniała jakąś delikatną wodą kolonską, ledwie wyczuwalną, kuszącą, oryginalną jak ona sama. Na wszelki wypadek Marko wołał nie dzielić się z nią tym wrażeniem i choć z trudem mu to przyszło, skoncentrował się na tekście.

- Dobrze - wymruczał. - Doskonale. - Spojrzał na Lindsey i uśmiechnął się. Kiedy skończył lekturę, usiadł na swoim stołku i zerknął na zegarek.

- Co byś powiedziała na lunch, zanim pobeigniesz załatwiać inne sprawy? Unikniemy tłoku. Niedaleko jest świetna włoska restauracja.

- Zgoda.
- Tak po prostu? Bez długich perswazji, namawiania?
- Jestem głodna.
- Potrafisz człowieka zaskoczyć.
- Marko D'Abruzzi - odpowiedziała Lindsey ze śmiechem. - Podejrzewam, że zaskakiwanie ciebie stanie się moim pełnoetatowym zajęciem.
- Znowu prawisz mi pochlebstwa.

Kiedy szli spacerkiem do restauracji, Marko opowiadał o swoich ulubionych makaronach. Potem usiedli tuż koło okna przy malutkim stoliku przykrytym lnianym obrusem. Marko wezwał skinieniem zaprzyjaźnionego kelnera, który już po chwili zmierzał w ich kierunku, a następnie przywitał go po włosku.

- *Buon giorno*, Marko.
- *Buon giorno*, Dominie.
- *Vuole mangiare alla cartal*
- Mów po angielsku, Dom. Zamówimy z Lindsey to, co ja zwykle tu jadam.
- Zmusza mnie do ćwiczenia angielskiego. - Kelner uśmiechnął się do Lindsey. - A dzięki mnie może porozmawiać z kimś po włosku.
- Rzeczywiście mówi tak dobrze, czy tylko się przechwala?
- Mówi doskonale.
- W ilu procentach jesteś Włochem? - spytała Marka, gdy zostali obsłużeni.
- Rodzina D'Abruzzich żyje tu od dziewięćdziesiątych

lat ubiegłego wieku, ale rodzina mojej mamy przybyła do Ameryki podczas drugiej wojny światowej z Triestu nad Adriatykiem. To miasto leżące niedaleko Wenecji. Dzięki mamie mówimy biegle po włosku. - Marko uśmiechnął się. - A ty komu zawdzięczasz biegły francuski?

- Nie kpij ze mnie. Męczyłam się nad nim przez trzy lata w szkole średniej.

- Nie piszesz niczego po francusku?

- Wystarczająco dużo problemów mam z pisaniem po angielsku.

- Piszesz świetnie.

Przez resztę posiłku omawiali szczegóły wspólnego przedsięwzięcia, prześcigając się w pomysłach i wzajemnych pochwałach.

- W poniedziałek rano powinniśmy skończyć pracę - powiedziała Lindsey, dopijając kawę.

- Drukarnia już czeka. Chciałbym wysłać materiały we wtorek rano i zabrać się do książeczki dla starszych klas. Dasz mi w przyszłym tygodniu trochę więcej czasu?

- Trochę.

- Jak zawsze tajemnicza.

- Taką mam chyba naturę.

- Ciekawe, że to nie ma wpływu na twoją pracę. To, co piszesz, jest jasne, jednoznaczne i trafia w sedno sprawy.

- Dziękuję. To najwspanialszy komplement, jaki słyszałam.

Swobodna i rozpromieniona, mówiła dalej, a Marko rozsiadł się wygodnie na krześle i rozkoszował się tą chwilą, pragnąc, żeby trwała jak najdłużej. Lubił patrzeć na Lindsey, uwielbiał słuchać jej miękkiego głosu i delikatnego południowego akcentu. Czuł się przy niej tak dobrze.

Ogarnęło go pożądanie, tak jak wtedy, kiedy grali w przedstawieniu kukielkowym, ale zdawał sobie sprawę, że nie powinien spłoszyć Lindsey. Nie spiesz się, stary, powtarzał sobie po raz setny. Bądź cierpliwy.

- Marko?

- Przepraszam, zamyśliłem się.

- Mówiłam, że twoja kreska jest niepowtarzalna, jedyna w swoim rodzaju. Malowałeś kiedyś dla przyjemności?

- Myślałem kiedyś o ilustrowaniu książek dla dzieci, ale co ja wiem o dzieciach?

- Przypomnij sobie własne dzieciństwo.

- Było szczęśliwe. Mam wspaniałą i liczną rodzinę.

- Pochwalali twój wybór zawodu?

- A skąd! Woleli, żebym został inżynierem albo księgowym. Zwłaszcza ojciec. Chciał mieć pewność, że będę w stanie na siebie zarobić.

- No i chyba nie ma wątpliwości, że ci się to udało. Radzisz sobie lepiej niż dobrze.

- Tak, od czasu gdy związałem się z Amandą. Taka spółka daje przyjemne poczucie bezpieczeństwa. Oczywiście dopóki napływają zlecenia.

- I dopóki jakiś wolny strzelec nie narobi wam bigosu.

- Nie spotkałem nikogo równie dobrego jak ty. Poza tym jesteś też szybsza od innych.

- Dzięki za dobre słowo. - Lindsey uśmiechnęła się.

- Wystawiałeś jakieś swoje prace?

- Zdarzało się. Akryle, oleje. Miałem kilka autorskich wystaw w paru galeriach w tym mieście i w Chadds Ford, parę obrazów sprzedałem.

- Znosi się na coś jeszcze?

- Niczego nie planuję, ale pewna galeria w Centerville

chce wystawić moje prace. Nie miałem czasu na doprowadzenie tej sprawy do końca.

- Mam nadzieję, że zaprosisz mnie na wernisaż.
- To propozycja randki?
- Przyjdę i wzniosę toast za twoje sukcesy artystyczne.

#### ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Parę godzin później Marko, pochylony nad rysownicą, uśmiechał się. „Przyjdę i wzniosę toast za twoje sukcesy artystyczne”. Ta kokieteryjna odpowiedź Lindsey wystarczyła za pretekst do zaproszenia jej do pracowni. Zamiast tego zaczął wspominać swoje dziecięce fascynacje rycerzami i średniowiecznymi zamkami, szukając w nich wątku, na którym mógłby oprzeć treść ilustrowanej książki dla dzieci. Lindsey uważnie wsłuchiwała się w każde jego słowo, a potem dorzuciła swoją własną opowieść o nie bardzo krwiożerczym smoku, szukającym zamku pełnego lordów i dam, które mógłby straszyć. Rozmawiali jak starzy współpracownicy, wymyślając różne wersje fabuły, rozwijając kolejne wątki, a Marko przez cały czas cierpiał jak spragniony kochanek.

Ostatnim wysiłkiem woli powstrzymał się od zaproponowania Lindsey kolacji wieczorem, kina albo pikniku. Pozwolił, by jej otwarta zachęta zawisła w próżni, zadowolony, że wydawała się rozczarowana brakiem jego reakcji, i pewien, że odmówiłaby mu dla zasady. Przygotował dla niej coś lepszego - plan, w którym kluczową rolę odgrywał element zaskoczenia.

O drugiej po południu w niedzielę Marko wszedł na palcach do sali dla dzieci w bibliotece Bancroft Parkway. Ukryty w tłumie rodziców obserwował kłowna, wystę-

pującego na drugim końcu sali. Lindsey poruszała się bezgłośnie, w całym swoim purpuroworóżowym blasku, otoczona zbitą gromadką oczarowanych przedszkolaków. W sali panowała cisza, przerywana jedynie stłumionym chichotem naśladujących ją dzieciaków.

W końcu dzieci urządziły jej owację, a Marko czekał i wzdychał. Nawet nie walczył z ogarniającym go pożądaniem. Wspomnienie dotknięć Lindsey przejmowało go dreszczem, atakowało wyobraźnię erotycznymi fantazjami. Ale to już nie tajemnicza nieznajoma go podniecała. Teraz miała swoją twarz, śmiech i osobowość, które wryły mu się w pamięć tak jak jej dotyk. A jej nieuchwytność tylko dolewała oliwy do ognia.

Dzieci rozbiegły się, a Marko stanął za Lindsey i przesunął palcami po jej plecach. To było silniejsze od niego.

- Widzę, że dzisiaj znowu zabrakło ci partnerki.

Kiedy Lindsey odwróciła się na pięcie, zobaczył tylko rozmazaną lawendową plamę.

- Przepraszam, o co chodzi? - wydyszała bez śladu południowego akcentu.

- Lindsey?

- Betsy O'Hare.

- Jej partnerka... - Grymas zaskoczenia wykrzywił mu twarz.

- Zna pan Lindsey?

- Tak... oczywiście!

- Niezły początek znajomości... - Kobieta odetchnęła z ulgą. - Pańskiego szoku wystarczy dla nas dwojga. Minęliśmy się. Skończyliśmy przedstawienie jakieś dwadzieścia minut temu. A to były zajęcia z pantomimy.

- Przepraszam. Naprawdę nie mam w zwyczaju... Bez względu na to, co pani sobie pomyślała... - Zamilkł

i przeklął pod nosem. - Będę wdzięczny, jeśli nie wspomni pani o tym Lindsey.

- Mogę zapytać, kim pan jest?

- Pani przypadkowym dublerem.

O dziewiątej rano w poniedziałek Marko, pochylony nad deską kreślarską, cieniował jeden ze szkiców szarym pisakiem. Nucił pod nosem jakąś znaną piosenkę, zadowolony, że nareszcie, po raz pierwszy od kilku dni, udało mu się skoncentrować na pracy.

- Kobiety... - mruknął pod nosem, chociaż zdawał sobie sprawę, że tylko jedna powodowała ten niesłychany zamęt w jego życiu.

Kiedy kładł ostatnią kreskę, nagle, jak gdyby szóstym zmysłem, wyczuł obecność Lindsey. Zanim zdążył się obrócić, dotknięcie palców przesuwających się po jego plecach poraziło ciało dreszczem szoku i podniecenia. Straciwszy równowagę, przeciągnął pisakiem po wymuskanym rysunku. Przeklął cicho i odwrócił się. Lindsey, osłupiała z przerażenia, wpatrywała się w jego zniszczoną pracę.

- Marko, tak mi przykro! Co ja narobiłam... - Zaczer wieniła się od szyi aż po skronie. - Chciałam ci tylko pokazać, jaki numer wyciąłeś wczoraj Betsy. O mało nie umarła, tak ją przestraszyłeś. Przepraszam, naprawdę...

Pocałował ją. Jakby to było najzwyklejszą rzeczą na świecie, wziął ją w ramiona i pocałował. Jego usta tak żarliwie wpijały się w jej wargi, że Lindsey prawie straciła równowagę. Przytulił ją jeszcze mocniej.

- Dobrze wiesz, jak mężczyzna powinien zaczynać dzień.

- Marko... - Lindsey z trudem złapała oddech. - Ni-

gdy nie myślałam, że coś takiego może się nam zdarzyć. Musisz mi uwierzyć. Nie wolno nam...

- Ale właśnie to nam się zdarzyło. Mój Boże, Lindsey, marzyłem o tym od chwili, kiedy pierwszy raz mnie dotknęłaś.

- Prawie mnie nie znasz.
- Za to wiem, co czuję, i wierzę, że ty czujesz to samo.
- To, co czujemy, nie ma tu nic do rzeczy.

Pocałował ją znowu, mocno, upajając się namiętnością, z jaką Lindsey odwzajemniła pocałunek. Jednak wypuścił ją z objęć, kiedy się odsunęła.

- Lindsey, jesteś wystarczająco zagadkowa, żeby doprowadzić mnie do rozpacz, choć sporo o tobie wiem. Znam twoje zalety, twój talent. Podziwiam twoją osobowość, ale też od samego początku wyczuwam w tobie lęk.

- Kiedy zatrzepotała rękami i próbowała odwrócić wzrok, ujął w dłonie jej twarz. - Wiem, że walczysz z tym równie zaciekle, jak ja.

- Nie wolno nam tego robić.
- Całować się? Cieszyć się swoim towarzystwem?

Lindsey, zrozum, gdyby choć jedno z nas nie traktowało poważnie zasad profesjonalnej etyki, kochalibyśmy się już w tej chwili - pod moją deską kreślarską albo przy tej szafie z aktami.

Kiedy Lindsey wyszła z pokoju Marka i zamknęła się w gabinecie Amandy, zdała sobie sprawę, że ich znajomość przekroczyła granice flirtu. Nie miała na sobie kostiumu kłowna ani grubej warstwy makijażu, który maskowałby rumieńce na policzkach. Słyszała jeszcze łomot własnego serca, czuła smak pocałunku Marka na ustach. W południe pospiesznie wymknęła się z biura.

We wtorek rano dowiedziała się, że Marko załatwia interesy poza biurem. W środę było to samo. Miał spotkania z klientami albo z drukarzami, ona jednak nie zamierzała pytać Karen, czy celowo tak planował swoje zajęcia, czy był to tylko zbieg okoliczności.

W czwartek, kiedy z rozwianymi przez wiatr włosami przekraczała próg agencji, spodziewała się, że Marko znów będzie zajęty. Miała na sobie wytarte dżinsy i rozpiętą pod szyją koszulową bluzkę.

Marko siedział przy desce kreślarskiej. Lindsey była tym tak zaskoczona, że stanęła jak wryta. Spojrzał na nią mrocznym wzrokiem, ale potem uklonił się jej z przesadną galanterią i ruszył do drzwi. Musiała się uśmiechnąć.

- Dzień dobry - przywitał ją w progu. - Kawa z mlekiem i jedną kostką cukru?
- Poproszę o herbatę, najlepiej z cytryną - odpowiedziała, wchodząc do gabinetu Amandy.
- To coś nowego. - Wszedł za nią.
- Lepiej, żebyś nie myślał, że jestem bardzo stała w upodobaniach i że łatwo mnie rozgryźć.
- To akurat nie przyszłoby mi do głowy. Ale mam pod ręką kilka innych określeń.
- Mianowicie?
- Utalentowana, twórcza, niezależna...
- Dzięki. Jesteś świetny. Powinieneś zostać psychologiem.
- Nieuchwytna, nieśmiała. Zakłopotana.
- Dostyc, chciałabym dostać tę herbatę.
- Tak jak ja... - Dotknął jej ramienia.
- Marko...
- Załatwiałem sprawy poza biurem. Wiesz, jakie to uczucie widzieć cię po tylu dniach?



- Nie - skłamała, próbując zapanować nad drżącym głosem.

- Wspaniałe uczucie, pomijając fakt, że mam kłopoty z zasypianiem i że zepsułaś mój pomedziałkowy mecz tenisa.

- Niczego takiego nie zrobiłam.

- Byłem kompletnie zdekoncentrowany, łagodnie mówiąc. Raz po raz popełniałem głupie błędy, podwójne błędy serwisowe, stracone okazje na zdobycie punktu.

- Może dobrze by ci zrobił długi, zimny prysznic. - Lindsey cofnęła się o krok.

- Tego też próbowałem. Mroziłem do bólu to rozpalone, cholernie nieposłuszne ciało, ale efekt był marny. Mam nadzieję, że z tobą nic podobnego się nie działo.

- Marko, nie wolno ci tak mówić... ani tak myśleć - szepnęła, odciągając go z pola widzenia Karen. - A czuję się normalnie, dziękuję- dodała po chwili z wymuszoną swobodą.

- Poziom twojej adrenaliny też jest w normie?

Marko wybuchnął niskim, gardłowym śmiechem.

- Poziom mojej adrenaliny nie powinien cię obchodzić. Pracowałam popołudniami, czasami i wieczorem.

- I nie zastanawiałaś się, w jaki sposób moglibyśmy połączyć przyjemne z pożytecznym?

- Jedno wyklucza drugie, dobrze o tym wiesz. A teraz pozwól mi wreszcie zrobić sobie tę herbatę i zacząć najmy.

- Już zaczęliśmy. Na razie praca, a potem lunch. Dominie pytał o ciebie.

Lindsey najpierw otworzyła szeroko oczy, a potem się uśmiechnęła.

- Co ma znaczyć ten uśmiech?

- Jesteś cholernie... pociągający, i to mnie za bardzo rozprasza.

- Naprawdę?

- Tak, Marko, ale nic się nie da z tym zrobić. Wbij to sobie do głowy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W sobotni wieczór o nieprzyzwoicie późnej porze Marko wchodził do foyer Dorset Mili, z trudem opanowując ziewanie. Ten historyczny budynek został odnowiony łącznie z apartamentami i urządzano w nim teraz rozmaite imprezy: firmowe, promocyjne, charytatywne. Bilecik z jego perfekcyjnie wykaligrafowanym nazwiskiem jako jedyny leżał jeszcze na stole obok olśniewającej kompozycji wiosennych kwiatów. Styl godny Amandy i jej agencji, pomyślał, sięgając po elegancki kartonik.

Mendenhall i Lipton dostarczyła wszystkie kwiaty na doroczny bal organizowany przez radę reklamy, a Amanda wymusiła na Marku obietnicę, że to on będzie reprezentował firmę. Nie wypadło mu się wykręcać, choć wolałby pozostawić ten zaszczyt swojej partnerce w interesach.

Zza otwartych drzwi sali balowej dobiegała muzyka i szmer głośnych rozmów. Hałas ten przywiódł mu myśl stado hałaśliwych kanadyjskich gęsi żerujących na jakimś kukurydzianym rżysku w Delaware.

- Marko D'Abruzzi, Mendenhall i Lipton - mruknął do siebie, odczytując napis na bileciku, który przypiął do kieszeni swojego zaskakująco konwencjonalnego blezera. Powinien był poprosić Lindsey, żeby mu towarzyszyła, przekonawszy ją najpierw, że chodzi tylko o interesy. Powstrzymał się od następnego ziewnięcia, wyobrażając sobie, że spędziliby ze sobą cały wieczór, udając, że między

nimi nie nie iskrzy. Groza! Zanim wkroczył do sali balowej, przeszedł szeroką, wysłużoną galerią do przeciwległej części budynku od strony rzeki. Pomimo nieznośnego gwaru przez grube, ceglane ściany wyraźnie było słycać łomot, pojękiwanie i skrzypienie młyńskiego koła napędzanego nurtem rzeki Brandywine. Noc była niezwykle ciepła jak na tę porę roku i dziwnie romantyczna. Stał przy oknie i patrzył na wezbrane wody rzeki, w których odbijały się światła rozjarzonych okien. Mimowolnie odezwała się w nim dusza artysty. Przymrużył oczy i wykadrował ocieniony fragment młyńskiego koła, a potem pochylając się nad wodą buki. Widok był malowniczy, ale to nie z jego powodu ociągał się z wejściem do sali. Po prostu nie spieszyło mu się do tłumu współpracowników, z którymi na co dzień konkurował.

- Zastanawiasz się, czy to jest warte uwiecznienia?

Miękki, aksamitny zaśpiew, którego nie pomyliłby z żadnym innym głosem. Odwrócił się i zobaczył uśmiechniętą twarz Lindsey.

- A niech mnie...

- Twoja sylwetka z daleka wydała mi się znajoma, ale ten grzeczny mundurek i krawat trochę mnie dezorientowały. - Poglaskała Marka po rękawie. - Ukrywałeś się tu przez cały wieczór?

- Przed chwilą przyjechałem. - Starał się nie patrzeć na Lindsey zbyt natarczywie.

Miała na sobie obcisłą, sięgającą do kolan szmaragdowozieloną suknię z połyskującego atłasu, z pomarańczowym kołnierzem, który odsłaniał obojczyki, i z rozszerzającymi się ku górze bufiastymi rękawami. Talię opinał szeroki pas.

- Wyglądasz jak z żurnala - dodał.

- Nie kpisz sobie ze mnie? Nigdy nie znalazłam się na modzie.

- Ten strój jest fantastyczny. Mówię szczerze. Doskonały.

- Dzięki.

- Nie wspomniałaś, że tu będziesz.

- Nie.

Czekał, ale Lindsey nie dodała ani słowa więcej.

- Kolor tej sukni pasowałby do smoka.

- Smoka? Z naszej bajki?

Skinął głową, coraz natarczywiej błędząc wzrokiem po jej sylwetce.

- Przestań, Marko, czuję się zakłopotana.

- Wszystkie nasze kłopoty biorą się stąd, że nie chcesz przyznać mi racji, a przecież coś nas do siebie ciągnie.

- To nie jest właściwe miejsce na taką rozmowę.

- Wiem. Dlatego nie poprosiłem cię, żebyś tu ze mną przyszła. Ale sprawiłaś mi cholernie miłą niespodziankę. Co ty tu robisz?

- To samo co ty. Jestem członkiem rady. Oczywiście wcale nie zamierzałam tu przychodzić. Nie pamiętałam nawet, że ten bal ma się odbyć dzisiaj, ale dyrektor public relations towarzystwa operowego zadzwonił do mnie z propozycją nie do odrzucenia.

- Nie sądziłem, że można cię do czegokolwiek zmusić.

- Tylko w pewnych okolicznościach. - Lindsey rozjrzała się po pustym korytarzu, ignorując badawcze spojrzenie Marka.

- Przyłączysz się do mnie? W takim tłumie nic ci nie grozi. Będę zachowywał się grzecznie, możesz mi zaufać.

Muzyka zaczęła grać, gdy podawano deser. Rozmowa

przy obiedzie przebiegała w miłym, choć nieco sztywnym nastroju, bo Marko starał się unikać niebezpiecznych tematów. Lindsey zaczęła jeść sorbet, kiedy przysunął bliżej swoje krzesło.

- Nigdy nie opuszczam walca.

- Roztopi ci się sorbet.

- To tylko taniec, Lindsey. Nie daj się prosić.

To nie był tylko zwykły taniec i oboje o tym wiedzieli. To groziło zburzeniem i tak już nadwątlonego muru, który Lindsey uparcie między nimi budowała. Marko wstał i po-  
dał jej rękę.

- Jeśli nadepnę ci na palce, natychmiast usiądziemy - obiecał.

- Może to ja będę ci deptać po palcach. - Lindsey włożyła łyżeczkę do pucharka.

- Z przyjemnością zaryzykuję.

Zaczęli tańczyć. Przez chwilę rozmawiali, krążąc po zatłoczonej sali, potem zamilkli. Znowu zapanowało między nimi to ciężkie, znaczące milczenie. Lindsey okazała się doskonałą tancerką. Poruszała się po parkiecie płynnie, pewnie i z gracją.

- Żadnych pacynek dziś wieczorem? - zapytał, gdy położyła mu dłoń na ramieniu.

- Nie tym razem.

Marko mocniej przycisnął dłoń do jej pleców, uciekając przed parą, która omal na nich nie wpadła. Lindsey pozostała w jego objęciach, pozwalając, by jej piersi ocierały się o jego tors, a biodra dotykały jego bioder. Marko starał się jej nie płoszyć. Nie powiedział, jak cudownie jest czuć jej bliskość, ale nie udało mu się znaleźć żadnego obojętnego tematu rozmowy.

Lindsey też przestała się odzywać. Po prostu tańczyli,

naprawdę tańczyli - najpierw jeden, potem następny romantyczny kawalek z ery big-bandów.

- Jesteś dobrym tancerzem - szepnęła mu do ucha.
  - Jako chłopiec w każdą środę tańczyłem w sali gimnastycznej w St. Margaret. Matka koleżanki z sąsiedztwa postanowiła, że musimy zakosztować najwytworniejszej przyjemności w życiu. - Roześmiał się. - Dziękuję, pani Del Vecchio, gdziekolwiek pani jest. A ty?
  - Ja tańczyłam na spotkaniach towarzyskich w Raleigh w czwartkowe popołudnia.
  - Nie było tak źle, prawda? - spytał Marko, kiedy orkiestra ogłosiła przerwę.
  - Palce są całe. - Lindsey spojrzała na stopy, przeprosiła Marka i udała się do toalety.
- Marko wyszedł za nią z sali i wrócił do okna, przy którym znalazła go Lindsey. Gdy opierając się o parapet, patrzył na wezbraną rzekę, wyszła z toalety i stanęła obok niego. Nic nie mógł na to poradzić, ale słyszał bicie własnego serca i poczuł, że musi dotknąć Lindsey.
- Pochylił się i pocałował ją delikatnie, dla pewności wpychając ręce do kieszeni.
- Wiedziałam, że do tego dojdzie - westchnęła, odwracając się.
  - Szkoda, że mi tego nie powiedziałaś. Zaoszczędziłoby mi to mnóstwo nerwów.
  - Nie powinniśmy tego robić.
  - Tam płynie sobie rzeka, moglibyśmy spacerować jej brzegiem, a nad drzewami lśni ogromny księżyc w pełni.
  - Widziałam go.
  - I potrafisz być taka spokojna.
  - Tak. Chyba za dużo tu ludzi.

- Mieszkam obok, w następnym domu. Jeśli przysięgnę, że chodzi mi tylko o rozmowę, wpadniesz na kawę?
- Mieszkasz w Dorset Court? - Poblądła, przypominając sobie nagle jego adres, który znalazła w książce telefonicznej.
- Nie bądź taka zdziwiona. Wiem, że nie pasuję do tego miejsca. Amanda znalazła dla mnie to mieszkanie. Jej rodzina jest bardzo zamożna i szanowana w tym mieście...
- Nie, wolę nie.
- Więc pospaceruj ze mną. Obiecuję, że będzie to tylko rozmowa. Po francusku, włosku czy angielsku. Jak sobie zyczysz.
- Nie, dziękuję za zaproszenie. Chciałabym wrócić do domu. - Uśmiechnęła się.
- To był tylko pocałunek.
- Mój pośpiech nie ma nic wspólnego z tobą, Marku, w każdym razie bardzo niewiele.
- A ja przez cały czas myślałem, że to ja jestem przyczyną tego twojego niepokoju.
- Przykro mi, że nie byłam lepszym kompanem do zabawy.
- Pozwól, że ja to ocenię.
- Lepiej już pójdę. Mam tu gdzieś samochód.
- Odprowadzę cię.
- Nie trzeba. Musisz skończyć swój deser.
- Tylko do samochodu, Lindsey.
- No dobrze. Przypuszczam, że zdajesz sobie sprawę z siły swojej perswazji.
- To jedna z moich najmocniejszych stron.
- Z twojego sorbetu zostanie mokra papka.
- Sam nie jestem w lepszym stanie.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zeszli schodami do wyjścia prowadzącego nad rzekę. Za progiem uderzyła w nich fala świeżego powietrza znad wody. Lindsey zadygotała.

- Mam na to sposób.
- Nie wątpię.
- Marko objął ją.
- To jest ten sposób?
- Jak mogę cię rozgrzać? - wyszeptał.
- Ta ręka na moim ramieniu zupełnie wystarcza.
- Szkoda.

Żadnych nacisków. Żadnego udawania. Pomimo bolesnych wspomnień związanych z tą okolicą, Lindsey miała niepokojące uczucie zadowolenia. Szli w milczeniu ścieżką wijącą się pomiędzy malowniczym brzegiem rzeki a podwórzami odrestaurowanych domów młynarzy. Dopiero kiedy zbliżyli się do znajomego rzędu granitowych ławek, Lindsey wstrząsnął lodowaty dreszcz.

- Jedno ramię to chyba trochę za mało. Mógłbym zaproponować ci coś, co daje więcej ciepła?
- Powinam już jechać. Nie zrozumiałbyś... - Jego niewinny żart wycisnął Lindsey łzy z oczu.
- Zdziwiłabyś się, jak dużo potrafię zrozumieć. Spróbuj tylko porozmawiać ze mną.
- Marko, przepraszam. Jest cudownie, naprawdę romantycznie. Wiesz przecież.

- Zawsze jakieś „ale”. - Zanim zdążyła zaprotestować, pochylił się i zaczął szeptać jej prosto do ucha. - Lindsey, to powinien być obiad w jakimś przytulnym miejscu. Powinnaś tańczyć w moich ramionach, wolna od tych setek par ciekawskich oczu naszych partnerów w interesach.

- My też jesteśmy partnerami w interesach, Marku.
- Nie w sobotnie noce.
- Po sobotnich nocach nadchodzą poniedziałkowe poranki.
- Do diabła z takimi obiekcjami.
- Marko, sobotnia noc z tobą, choćby tylko jedna sobotnia noc, zniweczy wszelkie moje nadzieje na... Jak to określiłeś? Spokojną i efektywną pracę, za jaką chwaliłeś mnie w zeszłym tygodniu. Ten pocałunek w biurze nie powinien nam się przydarzyć. Wiesz równie dobrze jak ja, że nie wolno łączyć przyjemności z interesem.
- Jesteś zbyt pragmatyczna.
- Jestem realistką. I profesjonalistką.
- Która trzęsie się teraz z zimna w moich ramionach. Lindsey odsunęła się.
- Nie ma sensu uciekać. Już tego próbowałem.
- To, co czujemy... tak intensywnie... to tylko chwilowe oczarowanie. Wiesz o tym.
- Jestem tobą oczarowany, Lindsey.
- Szalejące hormony uspokajają się, wcześniej czy później.
- Nie chcę, żeby się uspokoiły, nie chcę, żeby mi to przeszło. Jeżeli coś dzieje się za szybko, to zwolnijmy tempo. Zacznijmy od lunchu, obiadu, spaceru albo kina, od czegoś zwykłego. Na przykład pikniku, choćby jutro. Albo może od jeszcze jednego pocałunku - dodał z uśmiechem.

- Jesteśmy, kim jesteśmy. - Znowu położyła mu palce na ustach. - Nie wystawiamy na niebezpieczeństwo naszych dobrych stosunków. Przede wszystkim jesteśmy partnerami w interesach. Potrzebuję tego, Marku, bardziej niż... tego drugiego.

- To drugie mogłoby być bardzo przyjemną odmianą po długim dniu pracy - szepnął cicho, niemal dotykając wargami jej skroni.

Lindsey wyrwała się z objęć Marka i ruszyła w kierunku samochodu, walcząc ze wzruszeniem ściskającym jej gardło.

Marko dogonił ją i delikatnie położył dłoń na jej ramieniu.

- To nie o mnie chodzi, prawda? Może zachowałem się jak pętał, upierając się, że wiem, co czujesz, tylko dlatego, że wiem, czego sam pragnę?

- Zachowałeś się wytwornie. Pochlebia mi to, jeśli już o tym mówimy.

- Przez cały wieczór myślałem, że jesteś taka wyciszona, bo z całych sił walczysz z szalonym pragnieniem, żeby poddać się instynktowi i uwieść mnie.

- Potrafisz być dla siebie miły - roześmiała się Lindsey.

- Co cię gryzie? Czego ja według ciebie nie rozumiem?

- Nie chcę rozmawiać o swoim prywatnym życiu i musisz się z tym pogodzić. Wspaniale nam się razem pracuje. Dobrze czujemy się w swoim towarzystwie. Czy możemy zostać przyjaciółmi, prawdziwymi przyjaciółmi?

- Dobrze, zostawmy na boku namiętność. Jesteśmy przyjaciółmi, inaczej bowiem nie wystarczyłoby nam piętnaście minut, żebyśmy poczuć się jak w siódmym niebie.

Pamiętasz, jak zadzwoniłaś do mnie zapłakana już w pierwszym tygodniu znajomości?

- Miałam wtedy bardzo ciężki dzień.

- Nieważne, jak sobie to tłumaczysz i że nie chcesz pogodzić z prawdą, ale chciałaś po prostu usłyszeć mój głos, a ja byłem z tego cholernie zadowolony. I na taką szczerłość między nami liczę.

- Jeśli nie możesz dostać niczego więcej, to może zadowolisz się tym, co jest?

- To, czym się zadowolę, nijak się ma do tego, co cię dzisiaj gryzie. To chyba coś więcej niż walka z uczuciem do mnie.

Rozejrzała się po malowniczej okolicy skąpanej w świetle księżycy.

- Z tym miejscem wiąże się wiele moich wspomnień, to wszystko. Myślałam, że pogodziłam się już z przeszłością i tylko dlatego odważyłam się tu przyjść.

- Przyjaciele zwierają się sobie. Jeśli chodzi o jakiś nieudany romans, opowiedz mi o nim.

- Marku...

- Marne dajesz szanse facetom, ale zakładam, że jesteś rozwiedziona.

- Nie rozumiesz.

- Mam nadzieję, że wykopałaś łobuza na ulicę, jeśli cię źle traktował.

- Marku... - Spojrzała w rozgwieżdżone niebo, powstrzymując łzy. - Jestem wdową. - Przez długą chwilę stała nieruchomo, wsłuchując się w cichy szum rzeki, ale Marko wciąż milczał. - To skomplikowane. Żyliśmy w separacji, a rozwód był w toku. Staralam się z mężem pogodzić.

- Lindsey...

- Wszystko w porządku.
- Jak długo to trwało?
- Rozstaliśmy się dwa lata temu. Mąż zmarł na wiosnę zeszłego roku. - Podeszła do samochodu, a gdy Marko ją dogonił, zatrzymała się przy drzwiach dla pasażera.
- Tak mi przykro... - Poglaskał ją po policzku.

Potem ujął w dłoń jej twarz i pocałował. Ugięły się pod nią nogi. Na nic się zdało mocne postanowienie, że nigdy nie powtórzy swoich błędów. Od pamiętnego występu z pacynkami żyła jak w transie, wciąż miała przed oczami oszołomioną minę Marka D'Abruzziego i czuła ciepło jego ciała.

- Mogłabyś zacząć uwalniać się od tego - wyszeptał.
- Nie jedź jeszcze. Potrzebujemy rozmowy bardziej niż czegokolwiek innego. Zostań ze mną jeszcze chwilę. Proszę, zaufaj mi, Lindsey.

Jego głos działał jak balsam na ranę. Nie było jeszcze późno, a opiekunka do dzieci nie spodziewała się jej przed północą.

Pożądanie było silniejsze od smutku. Lindsey stała oparta o samochód, przed nią kręciło się młyńskie koło, szumiała rzeka i w smugach światła majaczyła sylwetka Marka. Błyszczały mu włosy i oczy. Czuła promieniujące od niego ciepło.

- Nawet jeśli by już nic nie zmuszało nas do utrzymywania dystansu, nie wiem, jak bym sobie z tym poradziła.

- Nie musisz sobie z niczym radzić. Dobrze, że po prostu jesteś, Lindsey. Niczego więcej nie oczekuję.

Położył palce na jej powiekach i zamknął je. Rozchyliła wargi. Całował jej twarz, usta, szyję, powoli, jakby rozmyślnie przedłużając miłosną uwerturę.

- *Come stal* - szepnął uśmiechnięty. - I jak samopoczucie?

- A co powinnam odpowiedzieć? - Nawet po angielsku trudno jej było znaleźć właściwe słowa.

- *Benissimo, grazie. Che sorpresal*
- Co to znaczy? - Wpatrywała się w jego ukrytą w cieniu twarz.

- Bardzo dobrze, dziękuję. Co za niespodzianka.

- Mówisz za nas oboje.

Odpowiedzią był następny pocałunek. Lindsey wyprężyła się i, zdumiona, zacisnęła dłoń na jego barkach.

- Wiem - szepnął czule. - Wiem.

Marko nalał do kieliszków brandy i usiadł przy Lindsey na kanapie. W głowie kłębiły mu się tysiące pytań, których nie śmiał jej zadać. Odsłoniła zaledwie skrawek swojej przeszłości, wystawiając na próbę jego ciekawość i pogłębiając jeszcze bardziej frustrację. Przyciemnił światło i wyłączył muzykę, kiedy zaczęła mówić. Ale znów się zawahała.

- Trudno mi sobie z tym poradzić...

- Wiem.

- Tego pewnie nie wiesz... Że mieszkałam tu z Jonathanem.

- W Dorset? - Zakrztusił się brandy.

- Tak. Zajmowaliśmy mieszkanie z widokiem na młyn. Tuż po ślubie. Myślałam, że będzie trwało wiecznie. Po separacji Jonathan wynajął kawalerkę w przeciwległej części budynku.

- A ty?

- Zatrzymałam dom. A potem przeprowadziliśmy się do York Road, za Concord Pike.

- W jaki sposób on...
- W wypadku samochodowym.
- Snułem różne domysły na twój temat, ale coś takiego nie przyszłoby mi do głowy. Czy byłem okropnym gburem?

- Byłeś cudowny.

Obyło się bez łez, ale Lindsey szybko zmieniła temat. Teraz ona zaczęła wypytywać Marka o jego przeszłość, rodzinę, karierę zawodową, a najbardziej się ożywiła, kiedy wspominał o szkole artystycznej i o kłopotach z rodzicami, którzy nie chcieli się pogodzić z jego wyborem studiów. Zaprowadził ją potem do jednej z dwóch sypialń, która służyła mu za pracownię.

- To moje drugie biuro. Wymyślałem tu różne śmieszne rzeczy.

Potem opowiadał o wielkomijskim życiu w Bostonie, o spółce z Amandą, o swoich siostrach i szwagrach, siostrzeńcach i kuzynach. Lindsey poczuła się odprężona i zaczęła rozglądać się po pokoju. Podniosła z biurka pędzel i zdjęła przezroczystą kalkę z ilustracji. Przez cały czas zerkła na Marka w sposób, który na nowo wzburzył w nim krew.

- Dużo kobiet przewinęło się przez twoje życie?
- Kilka.
- Nigdy się nie ożeniłeś?
- Robienie kariery w reklamie pochłania zbyt wiele czasu i energii. Chodziło mi to po głowie, kiedy przekroczyłem trzydziestkę. Ale potem nadszedł następny rok i doszedłem do wniosku, że jeszcze z pięć lat mogę poczekać.
- Sprawiasz wrażenie człowieka lubiącego dom pełen dzieci, rysujących i malujących przy kuchennym stole.

- Ja? Dzieci nie zajmują wysokiego miejsca na liście moich życiowych celów. Ledwo znajduję czas dla samego siebie. Swoją drogą, gdy namówiłaś mnie na tę zabawę w kłowna, wpadłem w panikę. Nie miałem pojęcia, jak dzieci zareagują.

- Były zachwycone.

- Zachwycone tobą. - Pozwolił, żeby te słowa zawisły między nimi w powietrzu. Milcząc, patrzył, jak Lindsey spuszcza oczy. Dotknął jej po raz pierwszy od chwili, gdy przekroczyli próg jego mieszkania. Sięgnął po jej dłoń i przycisnął do swojej piersi.

Spojrzała na niego.

- Ten pokój jest taki pełny... ciebie, Marku.

- Tutaj powstają moje najlepsze prace.

- Czyżby?

Przeszył go ostry prąd wzdłuż kręgosłupa.

- Mam jeszcze jeden pokój, po drugiej stronie korytarza. Jest w nim łóżko, czyli wszystko, czego potrzebuje my. Zaprowadzi cię tam facet, który pragnie cię bardziej, niż możesz sobie wyobrazić.

Lindsey bez słowa przycisnęła jego dłoń do swoich piersi.

- Jesteś pewna?

- Już niczego nie jestem pewna.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Zamknij oczy - szepnął - i wyobraź sobie, jak cu downie na mnie działasz. - Zaczął sunąć opuszkami palców po jedwabistym materiale jej sukienki. Dotykał piersi, czując, jak szybko twardnieją ich wrażliwe koniuszki. Było tak, jak się spodziewał, a jednocześnie to, co się działo z nim samym, przerastało wszelkie erotyczne marzenia, jakie nękały go noc w noc, odkąd poznał Lindsey.

Znieruchomiał. Zapamiętaj to, pomyślał. Zachowaj na jakąś zimną, samotną noc, choćby za pięćdziesiąt lat. Zapamiętaj, jak ona wygląda i jak ją czujesz. Nawet w słabym świetle lampy przymocowanej do rysownicy widział, jak szyja Lindsey oblewa się rumieńcem.

Drżała i oddychała coraz głębiej. Kiedy przywarł do niej mocno, wygięła się w łuk i uniosła biodra. Trzymał ją mocno w objęciach, a każdy jej ruch podniecał go coraz bardziej.

- Kiedy kochałaś się po raz ostatni, Lindsey?
- Był tylko Jonathan. Serce podeszło mu do gardła.
- Przed tobą nic do nikogo nie czułam.
- Lindsey... - Pocałował ją. - To najpiękniejsza zachęta, jaką mogłem usłyszeć. Chcę tylko tego, czego ty pragniesz.
- Jestem pewna, że w poniedziałek rano będę tego żałowała, ale liczy się tylko tu i teraz. I chcę zrobić to z tobą.

Poprowadził ją do drugiej sypialni. Rozbierali się na skraj ostrego snopa światła, który wpadał przez uchylone drzwi z korytarza.

Lindsey stała obok Marka bez ruchu, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Słyszał, jak ciężko oddycha. Powoli opuściła ręce, złożyła dłonie i przesunęła je do światła.

- Kiedy byłem dzieckiem, zawsze myślałam, że można zatrzymać w dłoniach światło księżyca. Wystarczy tylko doczekać nocy, wyjść przed dom i schwytać je w wysrebrzonej trawie.

Zapamiętaj to. Zatrzymaj w pamięci, żeby jaśniało na tle tych wszystkich zwykłych, przyziemnych chwil, z których składa się twoje życie. Kiedy Lindsey chwyciła światło, jej piersi zakołysały się. Marko patrzył na jej drżące dłonie, na smukłe palce i zapragnął podarować jej księżyc.

- Lindsey, jesteś pewna?

Wyciągnęła ręce. Wciąż drżały, ale podeszła do niego. Uśmiechnęła się kusząco i nagle jej palce zaczęły taniec.

- Jestem pewna. - Powędrowała dłońmi w górę po kręgosłupie Marka, wokół jego torsu i brzucha.

- Nawet wtedy, z pacynkami na palcach - wyszeptał. - Twoje ręce i twoje oczy...

Jej dłonie ześliznęły się niżej. Zaskoczenie, niespodziewana poufalość jej dotyku wywołały w Marku żądzę, jakiej żadna siła nie mogła już powstrzymać. Nic nie mówił. Przywarł do niej biodrami, pochylił się i zaczął całować jej piersi. Była rozpalona i już kołysała się miarowo w poszukiwaniu właściwego rytmu.

Równocześnie wyszli z kręgu światła i przez półmrok dotarli do łóżka. Marko zatrzymał się tylko na sekundę, żeby wyjąć z nocnego stolika małą paczuszkę. Czas się

zatrzymał, kiedy pochłonięci pieszczotami leżeli obok siebie, rozkoszując się wzajemnym pożądaniem. W końcu Marko ułożył Lindsey pod sobą i stali się jednym ciałem.

- Lindsey! - zawołał.

- *Che sorpresa* - wyszeptała.

Zaśmiał się i zaczął ją całować jak szaleniec, oddając się bez reszty fizycznej przyjemności. Lindsey, unosząc się rytmicznie, wychodziła mu na spotkanie, z każdym taktem potęgując rozkosz. Próbował droczyć się po włosku, ale nie był już w stanie ani mówić, ani nawet myśleć.

Nagle Lindsey przyłgnęła do niego, wyprężyła się i wykrzyknęła jego imię. Czuł, jak pulsuje w niej rozkosz, jak Lindsey się w niej rozsmakowuje. Przyciągnęła go po raz ostatni i dopełniło się to, czego pragnął od chwili, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Namietność rozpalila jego ciało i zawładnęła sercem. Kochał się z Lindsey Major.

Przez długą chwilę leżał nieruchomo, wsłuchując się w ich oddechy. Lindsey głęboko westchnęła i wtuliła się w jego ramiona. Jego zadowolenie było równie głębokie, jak namietność. Zapadł w drzemkę. Ocknął się, gdy poczuł na policzku jej wargi.

- Wychodzę.

Otworzył oczy. Lindsey stała przy łóżku. Mimo półmroku dostrzegł, że jest całkiem ubrana.

- Oczywiście, że nie wychodzisz. Chodź tu do mnie.

- Wyciągnął ręce.

- Obiecałeś, że nie będziesz się upierał. Spij. Zobaczymy się w poniedziałek w biurze.

- W poniedziałek? - Marko usiadł gwałtownie. - A co z niedzielą? Moglibyśmy wybrać się na piknik, urządzić sobie wycieczkę, na przykład do Chadds Ford, pójść do muzeum.

- Potrzebuję czasu, Marku. Jutro muszę wszystko prze-myśleć. Nie spodziewam się, że zrozumiesz, ale to dzieje się za szybko. Niczego nie jestem pewna. Jeżeli naprawdę ci na mnie zależy, daj mi trochę czasu.

- Nie mam wyboru. Idź i się zastanawiaj. Ale nie tak sobie wyobrażałem koniec tej nocy.

Lindsey wybrała się na piknik w niedzielne popołudnie, ale bez Marka. O trzeciej, po meczu baseballowym Alex, zabrała dzieci do pobliskiego parku, który powstał w ostatnim nie zabudowanym zakątku Yorku i Tower Roads, wykupionym i utrzymanym przez grupę rodzin, które założyły w tym celu stowarzyszenie sąsiedzkie. Na placu zabaw szalało mnóstwo dzieci z okolicznych domów.

Lindsey oparła się o pień buka, pod którym rozłożyła koc. Wiele lat temu weszła wraz z Jonathanem do komitetu organizującego montaż huśtawek i karuzeli, zajmujących teraz wysypany piaskiem kąt parku. Przymknęła oczy, ale to nie Jonathan pojawił się pod jej powiekami, lecz twarz Marka D'Abruzzi i jego nagie ciało.

- Marko D'Abruzzi - wyszeptała melodyjną kombinację sylab. „*Che sorpresa*”. Kochała się z nim, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie. Usiadła pod drzewem i zmusiła się do odpowiedzi na pytanie, jak to naprawdę się stało. Dlaczego to zrobiła?

Marko obudził w niej emocje, o których istnieniu już prawie zapomniała: dreszcz oczekiwania, zadowolenie z komplementów, przyjemność, jaką daje wzajemne zaufanie i poufałość. Czuła się przy nim tak dobrze. Niebezpiecznie pociągające było to, że Marko niczego nie udawał, nie dbał o pozory. Od samego początku wzbudzał

w niej zaufanie. Czy inaczej dzwoniłaby do niego już w pierwszym tygodniu znajomości jak do starego przyjaciela i powiernika? Czy siedziałaby teraz pod drzewem, przeżywając to wszystko od nowa?

- Co cię tak śmieszy, mamusi? - spytała Brooke.  
 - Śmiesz? - Zaskoczona Lindsey otworzyła oczy.  
 - Siedzisz sobie sama i śmiejesz się zupełnie jak Alex, kiedy opowie jakiś głupi dowcip.

- Naprawdę? - Poczula, że się rumieni.  
 - Nic ci nie jest? Wyglądasz jakoś dziwnie.  
 - Oczywiście, że nie. Weź sobie parę ciasteczek.

Brooke wepchnęła sobie ciastko do ust, potem chwyciła tyle, ile zmieściło jej się w dłoni, i pobiegła z powrotem do przyjaciół.

Lindsey wróciła myślami do Marka. Nie miała wątpliwości, że przywykł do kobiet, które tańczyły w jego ramionach przez całą noc - młodych, swobodnych kobiet, które bez zahamowań korzystają z uroków życia.

Wyobraziła sobie przez chwilę, że jest jedną z takich kobiet, ale wtedy uśmiech zniknął z jej twarzy. Marko mógłby zostać jej kochankiem, gdyby miała dwadzieścia jeden czy dwadzieścia dwa lata, a nie ponad trzydzieści, i gdyby byli parą przypadkowych znajomych, a nie współpracownikami.

Byłby cudownym partnerem do zabawy, gdyby ona nie miała za sobą małżeństwa, gdyby jej serca nie wypaliła walka o utrzymanie rozpadającego się związku. Marko był wystarczająco pociągający, żeby poruszyć jej wyobraźnię, obudzić marzenia, ale na tym koniec. Musiałaby być kimś zupełnie innym, żeby te marzenia urzeczywistnić. Nie dla niej przyjemności, za które zapłaciłaby utratą finansowego bezpieczeństwa rodziny. W tym scenariuszu brakowało

miejsca dla trójki dzieci z ich potrzebą solidnej jak skała stabilizacji.

- Dostyc tego - mruknęła do siebie i zawołała bliźniaki, potem wstała, żeby wytrzeć koc. Sama też powinna się porządnie otrząsnąć.

- Chłopcy są jacyś dziwni - stwierdziła Alex, kiedy Lindsey zaplatała jej warkocz.

- Wszyscy czy tylko niektórzy w szczególności? - Uśmiechnęła się do odbicia córki w lustrze toaletki.

- No, wszyscy chłopcy są dziwni, Justin też, ale głównie miałam na myśli Ryana.

- Ryan Hammel? Ta gwiazda baseballu?

- Tak, ten, który wybił piłkę tak mocno, że obiegł potem wszystkie bazy. Pamiętasz?

- Tak. Ten, przed którym ty zdobyłaś trzy bazy.

- No właśnie. Ryan zawsze mi dokucza, że nie nadaję się do drużyny baseballowej, ale dziś po południu, kiedy Adam Peterson powiedział coś obraźliwego, słyszałam, jak Ryan mu odparował, że gdybym tylko chciała, mogłabym rzucić taką piłkę, że przeleciałaby przez całe boisko.

- A co powiedział, kiedy prawie ci się udało?

- Nic. I o to mi właśnie chodzi. Uśmiechnął się i to wszystko. A Adam Peterson przyznał, że byłam fantastyczna.

- Jesteś fantastyczna. - Lindsey przytuliła córkę. - I żadne opinie chłopców nie powinny wpływać na to, co o sobie myślisz.

- Wiem, wiem... Jestem dobra w wielu rzeczach, a w innych nie i nie powinnam przejmować się tym, co inni o mnie mówią. - Alex wstała, oglądając swój warkocz.

- Zdaje się, że wiesz wszystko na ten temat. - Lindsey roześmiała się.

- Wiem, że dziś po południu naprawdę udało mi się zdobyć trzy bazy. I cieszę się, że to widziałas. Poza tym, chyba chciałam, żebyś obejrzała ten mecz.

- Naprawdę cię podziwiam.

- Czy tata dokuczał ci kiedyś, że czegoś nie robisz dobrze?

- Chodziło o narty - odpowiedziała Lindsey po chwili namysłu. - Twój ojciec zawsze narzekał, że nie jestem dobrą narciarką. Chyba mi trochę dokuczał. Tak, dokuczał mi.

- Mam nadzieję, że nie będziesz mieć teraz mnóstwa narzeczonych. Mama Sary ma narzeczonych na pęczki i jak któryś z nich zostaje do rana, Sara musi spać u swojej kuzynki Jessiki. A Jessica jest okropna. Ma sześć lat i grzebie w rzeczach Sary. Muszą spać w jednym pokoju. Sara ma tego dosyć.

- Ty nie jesteś Sarą, kochanie, a ja nie jestem jej matką. U mnie nikt nie zostaje na noc.

Przerwał im potworny hałas. To Justin wbiegł po schodach i stanął w drzwiach sypialni.

- Przyszła Jill, a został tylko jeden kawałek ciasta i Brooke mówi, że to jej kawałek.

- Powiedz Brooke, że ten kawałek jest dostatecznie duży, żeby pokroić go na trzy części, a poza tym nie wolno jej go nawet tknąć przed obiadem. Zaraz do was przyjdę.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Zastanawiała się przez chwilę, zanim nacisnęła dzwonek. Miała na sobie dzinsy, w których chodziła przez cały dzień, zmieniła tylko bluzkę. Marko nie powinien pomyśleć, że to coś więcej niż przypadkowa krótka wizyta.

Dzieci zostawiła z ich ulubioną opiekunką, Jill Crenshaw, ale wciąż sobie wyrzucała kłamstwo, do którego się uciekała, tłumacząc im, dlaczego w niedzielę wieczorem musi spotkać się z kimś w interesach.

Marko nie ukrywał zdziwienia. Uśmiechnął się promiennie i niemal wciągnął ją do środka. Musiał niedawno wyjść spod prysznicą, bo nie wyschły mu jeszcze włosy. Był w spodniach khaki, luźnej koszuli i szarych skarpetkach.

- Cześć - powiedziała, z trudem panując nad głosem.

- Nie przeszkadzam?

- Gdybym bał się skoków ciśnienia krwi, to tak. Chodź! - Wyciągnął do niej rękę.

- To nie to... - Lindsey zrobiła unik. - Przyszłam porozmawiać. Chyba powinnam wcześniej zadzwonić, ale obiecywałeś, że nie będziesz mnie do niczego namawiał.

- Jakby jej zmysły nie były już dostatecznie podrażnione, uderzył ją kuszący, aromatyczny zapach dochodzący z kuchni.

- Ananasy?

- Zgadłaś. Robię sos, któremu na pewno nie zaszkodzi kobieca ręka.

- Sądząc po zapachu, ten sos ma się świetnie bez kobiecej ręki.

- A ty?

- Od kiedy wyszłam od ciebie, bez przerwy myślę.

- Co nie zawsze wychodzi na zdrowie.

- To, co zaszło między nami w sobotę... Nie ma co zaprzeczać, coś nas do siebie ciągnie... wiadomo co, ale to nie jest... jak by to powiedzieć... właściwe. Zagrozi naszej zawodowej współpracy. - Odwróciła wzrok, a Marko zacisnął zęby. - Wyprowadzasz mnie z równowagi. Przy tobie już sama nie wiem, kim jestem.

Było coś więcej. Lindsey przemyślała wszystko dokładnie, zważyła wszystkie racje, ale kiedy zobaczyła Marka, cały ten wysiłek poszedł na marne. Jakim cudem mogła mu cokolwiek wytłumaczyć, jeśli sama tylko w przybliżeniu pojmowała, co się z nią dzieje? Bardzo chciała, żeby Marko zrozumiał, iż ciąży na niej odpowiedzialność za dzieci, żeby poznał jej prawdziwe życie, ale równie silnie pragnęła, żeby się o nim nie dowiedział.

- Zanim rozwiniesz temat swojej sytuacji zawodowej, rzuć na coś okiem w mojej pracowni.

Położył tylko dłoń na jej ramieniu, żeby skierować ją we właściwą stronę. A jednak Lindsey czuła się jak porażona prądem.

Pokój wyglądał tak, jak go zapamiętała z sobotniej nocy, z wyjątkiem ustawionej pionowo rysownicy. Na przypiętym do niej arkuszu brystolu widniał wielobarwny, nie dokończony szkic tuszem. Przedstawiał średniowieczne miasto widziane z lotu ptaka, choć patrzył nań nie ptak, lecz jej latający smok. Marko obdarował go błyszczącymi

szmaragdowymi łuskami i skrzydłami, które mieniły się różnymi odcieniami żółci, od kremowej po cytrynową. Stworzenie urzekło znajomym uśmiechem i błyskiem w oku.

Pod rozpostartymi skrzydłami znalazła wszystko, o czym mu w skrócie opowiedziała. Na namiotach powiewały proporce, rycerze w królewskich barwach walczyli na kopie. W tle kłębił się tłum postaci - lordów, dam, rzemieślników i wieśniaków, nie brakowało też psów i koni. Jedni jedli, inni handlowali albo bawili się.

- Nie wierzę własnym oczom - powiedziała wzruszona. - To jest genialne.

- To twój pomysł.

- Ale twój rysunek.

Wskazała palcem wyraźnie do niej podobną królową.

- To ja? - Lindsey przyjrzała się sukni i nakryciu głowy władczyni. Strój mienił się odcieniami żółci i złota.

- To kolory, w jakich zobaczyłem cię na naszym pierwszym spotkaniu. A smoka ubrałem w barwy sukienki, w której wystąpiłaś na balu w młynie. Pamiętam dotyk tego jedwabiu.

- Marko, przestań...

- Już się stało. Zaczęliśmy naszą historię, Lindsey.

Zauważyła dwóch błaznów zabawiających tłum. Od stóp do głów w purpurach.

- To my?

- Nie tylko tutaj. Jak sądzisz, co się dzieje w tym na miocie za areną?

Z kącików oczu popłynęły jej łzy i tysiące wrażeń pochwyliło ją w swoje siła. Marko przytrzymał ją za ręce, uniemożliwiając ukrycie rumieńców pożądania. Pocałował ją w skroń.

- Jest gorzej niż przedtem, prawda? Gorzej, bo sobotnia noc była naprawdę wspaniała.

Oczekiwanie wzmagало przyjemność i krępowało Lindsey, a Marko uśmiechnął się, patrząc jej prosto w oczy.

- Och, Lindsey - wyszeptał. - Kochanie, wiem. Chodźmy do łóżka.

Upłynęło sporo czasu, zanim Lindsey uspokoiła oddech. Marko odgarnął włosy z jej twarzy i pocałował ją.

- Przy tobie zapominam o wszystkich nieważnych sprawach. Liczysz się tylko ty.

Na oparciu krzesła wisiała czerwona flanelowa koszula. Lindsey nałożyła ją. Marko obserwował grę światła na jej nagich udach, kiedy wracała do pracowni. Uczucie zadowolenia i zachwytu odbierało mu dech w piersiach. Ale, Kochając się z nią, niebezpiecznie łatwo zapominał, ile przeszła, jak trudną drogę ma za sobą i jak mało mu obiecuje poza namiętnością. Poza ową namiętnością pragnął jej słów, chciał usłyszeć deklarację, którą sam gotów był złożyć. Wyznanie miłości.

Wciągnął dzinsy i przeszedł do pracowni. Lindsey wpatrywała się w jego szkic.

- Mój pomysł, twoje ilustracje - szepnęła do siebie, jakby starała się ogarnąć sens tych słów.

Otulił dłońmi jej twarz.

- Jest tyle rzeczy, które pięknie robimy razem. Odkryliśmy dopiero kilka z nich.

Lindsey spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma. Zatracił się w tym spojrzeniu, niezgłębionym jak bezksiężycowa noc, mrocznym, pełnym pragnień, o których nie

nigdy mu nie mówiła. Marko pocałował ją i wsunął dłoń pod flanelę. Obiad się opóźnił, ale był wyborny.

Nie poruszył tego tematu aż do momentu, gdy stojąc przy zlewozmywaku, oplukiwali ostatnie talerze.

- Zostań - powiedział po prostu.

- Nie mogę.

- Pracujemy razem, jakbyśmy byli do tej spółki stworzeni. Jest nam cudownie w łóżku. Więc dlaczego...

- Nie naciskaj.

- Gdybyś przedstawiła mi jeden sensowny powód, nie musiałbym tego robić.

- Właśnie dlatego przyszłam tu dziś wieczorem, żeby powiedzieć ci, że mnie... przytłaczasz. To wszystko mnie przytłacza.

- A powrót do domu, do pustego, zimnego łóżka daje ci poczucie swobody i bezpieczeństwa, tak? Nie wiesz, co widzę, gdy na ciebie patrzę? Nie masz pojęcia, co pojawia się w twoich oczach, co dzieje się z twoim ciałem, kiedy cię dotykam?

- Dosyć, przestań.

- Nigdy nie będziesz miała dosyć. Ani ja. I dlatego nie wolno mi przestać. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

- Zamiast tu przyjeżdżać, powinnam zadzwonić i porozmawiać z tobą przez telefon jak rozsądna osoba.

- Daj spokój, Lindsey. Przyznaj chociaż, że wcale tego nie żałujesz.

- Sama nie wiem, czego żałuję i co naprawdę myślę. Przez ciebie nie wiem, kim jestem. Czy możesz zrozumieć, że potrzebuję trochę dystansu od tego szaleństwa?

- Nie, nie mogę.

Kiedy rano Lindsey zjawiała się w biurze agencji Men-denhall i Lipton, Marko stał nad deską kreślarską, udając, że jest pochłonięty pracą.

- Marko?

- Dzień dobry.

- Dzień dobry.

- Posłuchaj... - Zerknął na siedzącą przy biurku recepcyjnym Karen. - Przepraszam. Mam świadomość, że jesteś przekonana, iż wiesz, co robisz...

Oparła dłonie na jego desce kreślarskiej.

- Właśnie tego się obawiałam. Nie możemy...

Pochylił się i pocałował ją nad deską kreślarską, otwartym stoikiem kleju i stertą maszynopisów. Przeszkodził im nagły łoskot spadających na podłogę ołówków. Lindsey uklęknęła, żeby je pozbiierać. Marko przyklęknął obok.

- Możemy. Już się stało. I to jest cudowne. Ty jesteś cudowna. Nie jesteśmy pierwszą parą na świecie, która łączy przyjemne z pożytecznym. - Dotknął jej ramienia.

- Jeśli cię naciskam, to tylko dlatego, że jestem niecierpliwy... - Zamilkł, bo zakryła mu dłonią usta.

- Marko, to nie wygląda na przyzwoitą służbową rozmowę.

- Pozwól, że to ja ocenię, co tu jest przyzwoite. Możemy przyjeżdżać do biura oddzielnie, każde swoim samochodem, jeśli tak bardzo troszczysz się o pozory przyzwoitości.

- Nie jadamy lunchów i nie nocujemy poza domem.

Marko roześmiał się pomimo napięcia i wstał, pociągając ją za sobą.

- Od pierwszej zasady zrobiłaś już wyjątek. Teraz czas na drugą.

- O, nie.

- Nie wolno ci nocować poza domem?
- To wszystko dzieje się za szybko.
- Dobrze rozumiem, przez co przeszłaś. Ale doprowadzasz mnie do szaleństwa, ty i twoja przewrotność.
- To nie jest przewrotność.
- Większość kobiet...
- Nie jestem taka jak większość kobiet. Wiesz równie dobrze jak ja, co nas do siebie tak ciągnie. Dostałaś już wszystko, co mogłam ci ofiarować.

Marko zaniemówił.

- Muszę wracać do pracy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

York Road był położonym przy drodze z Wilmington do Dorset Mills malowniczym osiedlem małych domków. Marko znał nazwę ulicy i potrafił rozpoznać samochód Lindsey. To zupełnie wystarczało.

Pożegnał się z Karen i ruszył na północ, wzdłuż Concord Pike. Kiedy skręcił z zatłoczonej arterii w podmiejskie uliczki, skaterzy i rowerzyści na tandemach zajęli miejsce setek samochodów. Ulica York Road obsadzona była szpalerem kwitnących dereni i wiśni, podobnie jak przecinające ją mniejsze uliczki.

- Przedmieście tonące w kwiatkach - mruknął pod nosem Marko. Niesłusznie podejrzewał, że Lindsey mieszka w jakimś wyjątkowo awangardowym miejscu. Tu nie było żadnej awangardy i żadnych wyjątków. Każdy dom stanowił kolejną uroczą adaptację stylu kolonialnego, a tę monotonię zakłócały tylko pedantycznie wypielegnowane ogrody i starannie utrzymane podwórka.

Wolniutko przemierzał York Road swoim czerwonym sportowym samochodem w poszukiwaniu znajomego sedana. Zauważył go na jednym z podjazdów i zaparkował tuż za nim. Obok na chodniku leżał górski rower.

Najbliższe drzwi prowadziły chyba do kuchni, bo kiedy Marko wszedł na pierwszy stopień schodów, usłyszał przeraźliwe brzęczenie minutnika. Główne drzwi były otwarte. Zapukał we framugę.

- Lindsey? - Znad kuchenki unosił się zapach, który Marko natychmiast rozpoznał: był to jego słodko-kwaśny sos. - A niech mnie diabli...

Poczuł też świeży, drożdżowy aromat. Pewnie bułeczki, pomyślał. Zapukał jeszcze raz i wszedł.

- Lindsey?

- Przepraszam - usłyszał za plecami dziecięcy głos. Kiedy się odwrócił, sięgający mu do pasa chłopiec rzucił w niego butelką z płynem do prania. - Mama powiedziała, żebym zwrócił to pani Russell. I podziękował.

- Pani Russell?

- Mamie Alex - odpowiedziało dziecko. - A komu innemu? Coś się już upiekło. Nie słyszy pan brzęczenia?

- Ja nie... Dobrze, dzięki - wymamrotał, kiedy chłopak zeskoczył ze schodków i wybiegł na ulicę.

Marko podszedł do piecyka, otworzył drzwiczki i wyciągnął blachę z ciastem. Wtedy otworzyły się drzwi do jadalni.

- Hej! Co pan robi w naszej kuchni? - zapytała rozczochrana dziewczynka w kostiumie baseballowym.

Marko z trzaskiem rzucił na kuchenkę gorącą blachę z ciastem.

- Szukam Lindsey Major, ale zdaje się, że trafiłem pod zły adres. Pukałem, wołałem i akurat zadzwonił kuchenny brzęczyk. Chyba nikt mnie nie słyszał. Twoje drożdżówki są gotowe.

- Biskwity.

- Biskwity. A może wiesz, który dom należy do Lindsey Major?

- Ten.

- Ten?

- No jasne.



Przerwał im rozdzierający wrzask dochodzący z piętra.

- To Justin. Skaleczył się w palec u nogi. Mama próbuje usunąć mu z rany kawałek żwiru, a on wrzeszczy jak opętany. Co za tchórz. Mama kazała mi wyłączyć piecyk. - Alex przekręciła wyłącznik.

- Lindsey Major jest twoją matką?

- W pewnym sensie. Tego nazwiska używa w pracy. Naprawdę nazywa się Lindsey Russell, tak jak my. I tak jak nazywał się nasz tata.

- Nazywam się Marko D'Abruzzi. Mama pisze coś dla mnie. Może o mnie wspominała?

- Chyba nie. - Dziewczynka wzruszyła ramionami i pokręciła głową. - Ona pisze dla wielu ludzi, na przykład dla tych z opery. A dla tych od elektrowni pisze książeczkę z obrazkami.

- To dla mnie.

- Pan jest tym Mendenhallem?

- W pewnym sensie. Mogłabyś jej powiedzieć, że jestem tutaj?

- Hej, mamó! - zawołała dziewczynka, nim Marko zdążył coś dodać. - Przyszedł ktoś, kto nazywa się Mark Bracie Mendenhall czy jakoś podobnie.

Lindsey Russell... Marko zaczerpnął głęboko powietrza. Słodki dreszczyk oczekiwania gdzieś się ulotnił, pozostało zakłopotanie i uczucie niemiłego zdziwienia.

Dziewczynka pojawiła się znowu.

- Mama kazała mi się przedstawić i opowiedzieć o stopie Justina. Mówiłam jej, że już opowiedziałam. Mama zadzwoni do pana później. Teraz musi zawieźć mnie na mecz.

- Nie trzeba jej w czymś pomóc?

- Nie, dziękuję - odpowiedziała sama Lindsey. Była

rozczochną wersją tej samej Lindsey Major, którą miał nadzieję trzymać teraz w ramionach.

- Przyjechałem cię przeprosić. Pamiętając, że lubisz spontaniczne odruchy, postanowiłem zrobić ci niespodziankę. Ale to mnie spotkała większa niespodzianka.

Lindsey szturchnęła córkę łokciem w ramię.

- Słyszę, że kran jest odkręcony. Niech Justin wymoczy tę stopę, zanim wyjedziemy.

- Mamo, przez niego się spóźnimy.

- Nie, kochanie. Skocz na górę i zobacz, co on tam robi. Zaraz do was przyjdę.

Alex, mamrocząc pod nosem, wykonała polecenie matki. Kiedy dziewczynka weszła na schody, zdenerwowana Lindsey odwróciła się do Marka.

- Zjawiłeś się naprawdę nie w porę. Alex miała ci powtórzyć, że zadzwonię później.

- Powtórzyła - rzekł Marko ponurym głosem.

- Więc zadzwonię. Teraz muszę zapakować kolację, skończyć opatrywanie stopy Justina, znaleźć Brooke i zabrać się stąd. To ciebie nie dotyczy, więc proszę, nie rób dodatkowego zamieszania w tym chaosie. - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Przepraszam. Nie to miałam na myśli. Chyba w ogóle już nie wiem, o co mi chodzi.

- Kto to jest Brooke, jeśli wolno spytać?

- Mam troje dzieci, Marku. Alexandrę oraz Justina i Brooke, bliźniaki.

- Troje! I wszystkie zajadają mój słodko-kwaśny sos!

- Jestem ci winna wyjaśnienie, wiem. Zadzwonię. Naprawdę.

- Bliźniaki?!

- Marko, związały nas sprawy zawodowe. Zaczęło się

od zlecenia. I na tym wszystko miało się skończyć. Ta... cała reszta... to...

- Wiesz równie dobrze jak ja, że ta cała reszta to coś, czego większość ludzi nie zaznaje nigdy w życiu.

- Mów ciszej.

- Czułem to od pierwszej chwili, chociaż ukrywałaś się pod makijażem kłowna i tym zwariowanym kostiumem. Ale wystarczył twój głos i te oczy. Lindsey, twoje oczy wtedy nie kłamały. Jedno twoje spojrzenie, jedno dotknięcie i już wiedziałem, że czułaś dokładnie to samo, co ja.

- Sporą część dorosłego życia poświęciłam na próby podtrzymania takich uczuć w stałym związku. Nie zadziałało. Mam wystarczająco wiele lat, żeby wiedzieć, iż to się po prostu nie udaje.

- Ciekawe. Wydawało mi się, że nie jesteś szczególnie doświadczoną kobietą. Zostałaś panną młodą jako dziecko?

- Marko, mam prawie trzydzieści trzy lata, czyli o prawie dwa lata więcej od ciebie.

- I żadnych doświadczeń poza tymi wiążącymi się z życiem z Jonathanem Majorem.

- Russellem.

- Oczywiście, Lindsey Russell.

- Wiesz, co do ciebie czuję. Było nam cudownie, ale nie ma sensu wciągać w to nikogo więcej. Nie chcę niczego zmieniać. Nie mogę tego zrobić.

- Mamo! - Z łazienki na piętrze dobiegło przeciągłe zawrozczenie.

- Muszę do nich iść. Zadzwoń.

- Nie wydaje mi się, żeby to była rozmowa na telefon.

- Próbowałam porozmawiać z tobą i dlatego przyje-

chałam w niedzielę do Dorset. - Lindsey zdjęła dłoń z jego ramienia. - Sam wiesz, jak to się skończyło.

- Pamiętam każdą sekundę.

- Marko, proszę. Nie tutaj.

- Wy tłumacz mi to posługiwanie się dwoma nazwiskami.

- W pracy używam panińskiego nazwiska, żeby oddzielić prywatne życie rodzinne od reszty. Do tej pory to zdawało egzamin.

- Świetnie. Czy nasz związek miał polegać na tym, że pojawiaasz się, kiedy najdzie cię chęćka na kilka godzin mocnych wrażeń, a potem znikasz sobie w mroku nocy?

- Dotychczas nieźle się to udawało.

Jej odpowiedź odebrała mu głos.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Kompletny chaos - mruknęła do siebie Lindsey. Sie działa na pagórku i walczyła ze łzami, patrząc na Alex, która zonglowała piłką w trakcie rozgrzewki. Justin długo się upierał, że jest zbyt ciężko ranny, żeby zejść z roweru, w końcu jednak przestał utykać i przyłączył się do Brooke i innych dzieci.

Myślała o czekającym na jej telefon Marku. Postanowiła mu opowiedzieć, jak przygotowała jego słodko-kwaśny sos. Potrzebowała kilku lżejszych tematów do rozmowy, której tak się bała. Wzdrygnęła się, kiedy poczuła na ramieniu czyjąś dłoń.

Marko usiadł obok niej z grobową miną. Ledwie przypominał samego siebie.

- Mówiłam, że zadzwonię- mruknęła Lindsey, nie odrywając wzroku od bawiących się dzieci.

- Nie jestem facetem, który lubi siedzieć jak na szpilkach, czekając na jakiś telefon - odezwał się ponurym głosem..

- Jesteś zły, bo nie powiedziałam ci o dzieciach. - Lindsey czuła, że zaczyna opuszczać ją odwaga.

- Tak, zgadza się, do cholery! Jeżeli mężczyzna kocha się z kobietą, to chyba powinien wiedzieć, że ona ma trójkę dzieci.

- Gimnastykuję się - wyszeptwała.

- Nie to miałem na myśli. Dzieci, dom, sąsiedzi. Nie

mam pojęcia, kim jesteś. Związałem się z kobietą, która prowadzi podwójne życie. Od pierwszego dnia byłaś tajemnicza, wykręcałaś się od odpowiedzi na różne pytania, ale to, co zobaczyłem dzisiaj, przekroczyło granice mojej wyobraźni.

- Podobała ci się taka sytuacja. Moja tajemniczość.

- Sądziłem, że to powodu twojego męża. Biedna, krusza Lindsey ze złamanym sercem. Te wzruszające wyznania, te opowieści o Jonathanie dawały mi tylko złudzenie, że coś o tobie wiem. Okazuje się, że nie miałem bladego pojęcia, kim naprawdę jesteś.

- Nie zapominaj, kim ty jesteś, Marku. - Lindsey znów ściszyła głos. - Jesteś trzydziestojedynoltnim, kochającym życie, nienawykłym do żadnych zobowiązań kawalerem. I z pewnością odpowiada ci dokładnie taki układ, jaki nas teraz łączy. A to wszystko - zatoczyła ręką koło - nie ma z tym układem nic wspólnego.

Patrzył bez słowa na dzieci grające w piłkę.

- Marku, przydarzyło się coś, na co od bardzo dawna czekałam. Brakowało mi tego, ale musisz zrozumieć, że nigdy nie wciągnę w to dzieci. - Położyła dłoń na jego ramieniu. - Nikt na tym świecie nie zna mnie lepiej niż ty.

- A ja dalej niewiele z tego rozumiem. Do diabła, Lindsey, nawet nie wiem, kim jesteś.

Przyglądał się z udrczoną miną biegającym po boisku dzieciom. Nie doczekał się żadnej odpowiedzi i wstał.

- Zdaje się, że to byłoby na tyle, prawda?

Zostawił Lindsey i zaczął schodzić z górki. Patrzył na boisko, którego kontur zaczął się nagle rozmazywać. Nic już nie było proste i zrozumiałe, a najmniej ich związek, w którym on, dorosły mężczyzna, z całym swoim uro-

kiem, wdziękiem i polotem, okazuje się naiwnym, bezradnym nowicjuszem, niezdolnym pojąć zawłości kobiecej duszy.

- Marko D'Abruzzi?

Jeden z trenerów okazał się jego agentem ubezpieczeniowym. Pozdrowił go skinieniem dłoni, w której trzymał notatnik.

- Jake?

- Nigdy bym się ciebie tutaj nie spodziewał.

- Grałem w baseball w szkole średniej. Ale przyszedłem tu omówić sprawy zawodowe z jedną z pracujących u mnie redaktorek. Jej dzieciak gra w tej drużynie. Alex, chyba tak ma na imię.

- A ta, Alex Russell. Słuchaj, skoro już tu jesteś, może byś poćwiczył z nią rzuty? Mam dziś pełne ręce roboty, bo jeden z trenerów nie przyszedł.

- Nie mogę, Jake. Nie sądzę, żeby jej matka...

- Tylko do meczu. Jest trochę narwana, ale kilku chłopaków dało jej popalić. Ma spore możliwości, potrzebuje tylko więcej treningu. Dziesięć minut. - Wręczył mu rękawicę i przywołał Alex. - Porzucaj trochę. Marko z tobą potrenuje.

- Mam nadzieję, że rzucasz lepiej od mamy. - Alex Russell zerknęła na niego z zaciekawieniem i ruszyła na boisko.

- Nie jest zbyt dobra?

- Niestety, nie jest. Mój tata był całkiem dobry. Zawsze mi mówił, że będzie trenował moją drużynę, kiedy dorosnę do małej ligi.

- Przykro mi, że nie ma go z nami.

- Znał go pan? - Dziewczynka podniosła daszek czapki.

- Nie. Twoja mama opowiadała mi o nim.
- Możesz mi rzucić kilka niskich piłek?
- Spróbuję.
- Z takimi idzie mi najgorzej.
- A jak z wysokimi?
- Lepiej, jeśli słońce nie świeci mi prosto w oczy.

Mecz trwał już dwadzieścia minut, a Marko ciągle tam tkwił. W przerwach między kolejnymi rozgrywkami pracował z Alex nad jej rzutem, sposobem trzymania kija, chwytem i do pewnego stopnia nad jej postawą. Była speszona, ale ambitna, a charakterystycznym błyskiem w oku przypominała matkę. Co chwila zerkał na Lindsey, która siedziała na pagórku zjedną ręką opartą na biodrze, drugą osłaniała oczy przed słońcem. Od dnia, w którym ją poznał, nie przyglądał się jej tak uważnie.

Matka trójki dzieci. Rzucił piłkę do Alex.

Matka trójki dzieci. Alex odrzuciła ją z powrotem.

Alex i Brooke, i Justin. Następny rzut.

Lindsey, Alex i Brooke, i Justin. Piłka poszybowała z powrotem i uderzyła go w kolano.

O północy Marko stał przy desce do rysowania w przydługich spodniach od piżamy i mieszał palcem szkocką z lodem. Ciszę zakłócał tylko stukot kostek lodu w szklance. Sen nie chciał nadejść.

Dziwaczne postaci z rysunku szczyrzyły zęby w uśmiechach, mrużyły oczy i walczyły na kopie. Marko sączył whisky z odchyłoną do tyłu głową. Chwycił ołówek i zaczął wpatrywać się w swoją czerwoną flanelową koszulę. Ciągle leżała na podłodze, tam, gdzie ją rzucił. Rozbierał z niej Lindsey, rozpinając guzik po guziku. Jego ciało

natychmiast zareagowało na to wspomnienie i wtedy zaczął stukać ołówkiem w metalowy klosz lampy. Ona stała tutaj, malowana grą światła i cieni niczym renesansowy akt. Dawała tak dużo... i tak mało.

Trzydzieści trzy lata, troje dzieci... Krew mu kipiała, ale męczarnie psychiczne gasiły pożądanie. Dokończył drinka, ogłuszony nagłym odkryciem: jak szybko coś, co sprawiało mu tyle przyjemności, mogło przynieść tyle zgryzoty. Jeszcze raz uderzył w klosz i wrzucił ołówek z powrotem do pojemnika.

O wpół do dziesiątej następnego ranka Marko odebrał w biurze telefon od Lindsey.

- Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że nad resztą projektu będę pracować w domu. Skończę to do czwartku.

- Nie musisz.

- Ale chcę. Bardzo chcę.

- To nie wyścigi.

- Marko, pomówmy o wczorajszym dniu.

- Alex wygrała?

- Tak. - Lindsey na chwilę zamilkła. - Właśnie o niej chcę porozmawiać.

- Ma dobrą rękę i ładnie podkręca piłki. Poza tym jest odważna. Ale przypuszczam, że nie jest łatwo być jedyną dziewczyną w drużynie.

- Jakoś sobie radzi.

- Domyślam się, że chłopcy od czasu do czasu dają jej w kość.

- To nie twoje zmartwienie.

- To dlaczego chcesz o niej rozmawiać?

- Martwię się. Złapała z tobą kilka trudnych piłek i teraz chce, żebyś z nią trenował.

- Dałem jej kilka dobrych rad.

- Wiem i doceniam to, ale...

- Zawsze jest jakieś ale. Rzucanie piłką parę razy w tygodniu też nie wchodzi w rachubę?

- Nie chcę w to wciągać dzieci.

- W co? - Zerknął przez korytarz na Karen.

- Dobrze wiesz, w co. Nieważne, jak nazwiemy, to co robimy.

- Ciągłe to robimy? I chcesz koniecznie to nazwać?

- Nie, nie chcę. Chodzi mi o to, że ta historia potoczy się własnym torem, a ja nie chcę narażać na zawód dzieci. One przywiązują się mocniej niż ich bujający w obłokach rodzice.

- Z tego, co mi opowiadałaś, nie masz w tych sprawach wielkiego doświadczenia.

- Jako matka mam wystarczające doświadczenie.

- A nie sądzisz - Marko bawił się ołówkiem - że „cała ta historia”, jak ją nazwałeś, już toczy się własnym torem?

- Być może - westchnęła po długiej chwili milczenia. Marko odłożył słuchawkę i długo wpatrywał się w ścianę. Wreszcie zaklął jak szewc i złamał ołówek.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Lindsey pozwoliła sobie na luksus szczerego płaczu. Nieustannie wracały do niej jej własne słowa. Pod prysznicem, przy komputerze, kiedy pakowała kanapki dla dzieci i przez cały czas wszystko, co mu powiedziała, wydawało jej się absolutnie sensowne. Powinna była przewidzieć, że każdy argument będzie dla niego wyzwaniem do walki. W końcu знаła Marka D'Abruzziiego dostatecznie dobrze, żeby nie spodziewać się po nim innego rodzaju reakcji. Swoją drogą, gdyby był zrównoważonym człowiekiem, nie doszłoby do tego szaleńczego romansu. Wytarła nos i zaśmiała się szyderczo.

- Gorący romans, spopielony w płomieniach - powiedziała głośno.

Kilka godzin później znajomy pisk szkolnego autobusu zmusił ją do skoncentrowania się na czymś innym poza własnym nieszczęściem. Justin, Brooke i Alex wpadli do kuchni, głodni jak zwykle o tej porze. Ponure myśli o jej krnąbrnym kochanku musiały poczekać. Przez resztę popołudnia zmagala się z realnym życiem, podawała jedzenie, zmywała, przeglądała zeszyty i rozsądzała kłótnie.

- Czy Marko przyjdzie na boisko? - spytała Alex, jedząc ciasteczka.

- Nie może. Jest bardzo zajęty.

- Prosiłaś go? - Alex była przybita. - Wczoraj, kiedy się żegnał, powiedział, że przyjdzie. Mówiłam ci, że on...

- Alex, masz swoich trenerów.  
- Nie starcza im czasu dla wszystkich.  
- Więc ja potrenuję z tobą na podwórku albo poprosimy pana Crenshawa.

- Jasne. Sama wiesz, mamusi, że kiepsko grasz w baseball. A Jill uważa, że jej tata też nie jest dobry. Poza tym późno wraca z pracy.

- Znajdziemy kogoś.

- Założę się, że nawet nie prosiłaś Marka. Na pewno uważasz, że on się nie zgodzi, bo daje ci za trudną pracę i go nie lubisz.

- Za trudną?

- Słyszałam, jak płakałaś i przeklinałaś go wczoraj w swoim gabinecie.

- Alex...

- Albo tak jest, albo jestem tylko głupią dziewczyną w drużynie chłopców.

- To nie tak...

- Jasne! - Alex wybiegła z kuchni i głośno tupiąc, poszła do swojego pokoju.

Lindsey przez chwilę zbierała myśli, a potem ruszyła za córką. Usiadła na brzegu jej łóżka.

- Nie możesz czasami uznać, że to ja wiem, co jest najlepsze?

- Ty myślisz, że wiesz, co jest najlepsze, ale ja wiem, co naprawdę może mi pomóc.

Lindsey, widząc zmierzającego w jej kierunku Marka, starała się zapanować nad swoim podnieceniem i niepokojem. Wiatr rozwiewał mu włosy i szarpał jego koszulę. Ta koszula! Miał czelność ją nałożyć - tę samą czerwoną koszulę, którą narzuciła na siebie, kiedy wyszła z jego

łóżka, a którą potem on rzucił na podłogę w swojej pracowni.

Skrzyżowała na piersiach drżące ręce. Wspomnienie jego dłoni wślizgujących się pod miękką flanelę przyprawiło ją o gęsią skórę. Przypomniała sobie swoje nienasytzenie i zapłonęły jej policzki. Kiedy stanął przy niej, bała się panicznie, że nie wydobędzie z siebie głosu.

- Dziękuję, że przyszedłeś pomóc Alex... - wydusiła z trudem.

- Zmienność jest przywilejem kobiet.

- Powiedzieliśmy sobie dużo przykrych rzeczy.

- Ty zrobiłaś mi parę przykrych rzeczy. W życiu bym się nie spodziewał, że się dzisiaj odezwiesz. I to z taką prośbą.

- Mojej córce zdawało się, że obiecałeś jej wczoraj, iż przyjdiesz.

- I narażę się na gniew jej matki? Pochlebia mi jej wiara, że stać mnie na taką odwagę... - Zauważył jej ukradkowe spojrzenie. - Poznałaś koszulę? Stąd ten rumieniec?

- Włożyłaś ją celowo.

- Po co miałbym to robić?

- Dajmy temu spokój. - Lindsey poczuła, że czerwienieją jej nawet uszy.

- To jedna z moich najbardziej ulubionych koszul. Ale zdaje się, że jej widok wyprowadza cię z równowagi. Pozwól, że dam ci pewną radę. Jeżeli decydujesz się na namiętny, niezobowiązujący romans, nie może cię rozklejać taki drobiazg, jak widok byle koszuli.

- Wcale się nie rozklejam.

- Wiem coś o tym. Wczoraj nałożyłem tę koszulę i tak silnie pachniała twoimi perfumami, że musiałem ją uprać i wziąć zimny prysznic.

- Czy mógłbyś łaskawie zmienić temat?

- Jedź do domu. Odwiozę Alex po treningu.

- Bardzo dziękuję. Ale zrozum, to się nie może powtórzyć. Tylko ten jeden raz.

- Nie mogłaś wyrazić tego jaśniej.

Lindsey zdążyła tylko sapnąć ze złości, bo Marko wstał i popędził klusem w kierunku boiska.

Marko nie podejrzewał się nawet o taką zdolność koncentracji. Korzystając z rad obu trenerów, systematycznie ćwiczył z Alex poszczególne elementy gry. Nieśmiałość dziewczynki powoli ustępowała, a i on zorientował się w czasie treningu, że żartuje, dodając jej odwagi, bez początkowego uczucia skrępowania.

Lindsey została na pagórku, pilnie ich obserwując. Po dwudziestu minutach Alex zaczęła narzekać.

- Mama uważa, że zawsze musi mieć mnie na oku. Wolałabym, żeby przestała na nas patrzeć.

- Denerwuje cię to?

- Ona bez przerwy się martwi. - Dziewczynka uśmiechnęła się zawadiacko. - A w ogóle, to chciałabym wrócić do domu twoim samochodem.

- Podobają ci cię sportowe modele?

- Jasne.

- Nie przejmuj się mamą. Ona bardzo cię kocha. Pewnie dlatego, że straciłaś tatę, usiłuje ci go jakoś zastąpić i dlatego troszczy się za dwoje rodziców.

- Gdy byłem w pierwszej klasie, tata mnie tu przywoził, nawet wtedy, kiedy mieszkał w Dorset. On też dobrze rzucał. Mama nie ma o co się martwić. Mówiłam jej, żeby pojechała do domu.

- Ja też.

- Skoro jesteś jej szefem, powinna cię posłuchać.
- Jestem raczej jej partnerem w interesach.
- Azachowuje się tak, jakbyś był jej szefem. Krzyczała na Justina, kiedy zapytał, kim jesteś. Ty rysujesz, prawda?
- Prawda.
- Zdaje mi się, że ma kłopoty z tą pracą, którą dla ciebie robi.
- Tak? Więcej krzyczy, kiedy pracuje?
- Nie. Słyszałam, jak płakała w nocy w swoim gabinecie.
- Jesteś pewna? - Serce podeszło mu do gardła. Alex przerwała i pomachała w kierunku odjeżdżającego go samochodu Lindsey.
- Nareszcie! Chyba cię jednak nie nienawidzi.
- Nienawidzi?
- Nie to chciałam powiedzieć... - Alex skrzywiła się speszona. - Przeklinała cię wtedy, kiedy płakała. Nie wiedziała, że wszystko słyszę. Nie powtórzysz jej tego? Podpadłabym mamie na całe życie.
- Obiecuję.
- Dobra. A teraz może poćwiczymy wysokie piłki?
- Jasne - odpowiedział, klnąc pod nosem.
- O wpół do szóstej wsadził zmęczoną Alex do samochodu i odwiózł ją do domu. Zastanawiał się, czy nie zabrać jej po drodze do McDonalda, ale wolał się nie narażać na kolejny wybuch złości Lindsey Major Russell. Zawiózł więc dziewczynkę prosto do domu i zatrzymał samochód na podjeździe.
- Dzięki - powiedziała Alex.
- Jesteś dobrym graczem. Możemy jeszcze kiedyś potrenować.
- Kiedy?

- Kiedy? - powtórzył pytanie.
- Och, zdaje się, że spytałeś tylko przez grzeczność.
- Alex zrzędał mina.
- Nie, naprawdę chciałbym, ale decyzja w tej sprawie należy do twojej matki. W tych sprawach to ona jest szefem.
- Niestety.
- Może wpadłbym na chwilę i zapytał ją?
- Nie. - Alex pokręciła głową. - Na to trzeba wybrać dobry moment. Teraz Brooke mogła ją rozzłościć albo Justin. Poproszę, jak będzie miała dobry humor. Następnym trening mam w czwartek.
- Marko roześmiał się i w tej samej chwili Justin wyskoczył z domu jak oparzony.
- Ale fantastyczny samochód! Widziałem go z łazienki, kiedy skaleczyłem się w palec. O rany, przywiozłeś Alex do domu?
- Tak. Widzę, że z twoim palcem jest już dużo lepiej.
- Pewnie. Lepiej wyłączyć z tego auta, Alex.
- To nie twój interes - odpowiedziała dziewczynka.
- Ciekawe, czy mama wie, że jeździsz samochodem z kimś obcym.
- Jesteś po prostu zazdrosny!
- Justin, twoja mama zgodziła się... - Skołowany Marko zobaczył wychodzącą z domu Lindsey.
- Dziękuję, że ją przywiozłeś.
- Oo! - krzyknął zdziwiony chłopiec.
- Widzisz - szepnęła Alex - z mamą nigdy nic nie wiadomo. Dziękuję, Marko - dodała już normalnym głosem.
- Panie D'Abruzzi - upomniała ją Lindsey.
- Panie D'Abruzzi - powtórzyła dziewczynka.



Marko obserwował, jak Alex dostosowuje się do sytuacji. Przy matce nagle zrobiła się uległa i nieśmiała.

- Wiesz, mamó, pan D'Abruzzi jest świetnym graczem. Powinnaś zobaczyć, ile się nauczyłam. Trener Peterson uważa, że dobrze by było, żeby mi dalej pomagał.

- Naprawdę?

- Najlepiej w czwartek. To pomysł trenera Petersona.

- Pan D'Abruzzi jest bardzo zajęty człowiekiem,

Alex.

- Powiedz tylko, że o tym pomyślisz.

Alex uśmiechnęła się do Marka, a Lindsey tylko westchnęła i spojrzała na niego nieprzeniknionym wzrokiem, kiedy wycofywał samochód.

- Damy ci znać - powiedziała na pożegnanie.

- Zadzwoń.

Marko zatrzymał się na chwilę, potem jednak zdecydował, że nie ma sensu czekać na zaproszenie. Ona nigdy tego nie zrobi. Odjechał, żalując, że nie zaproponował Justinowi przejażdżki i że nie dostał odpowiedzi w sprawie czwartkowego treningu. Przed pierwszym zakrętem ziewnął i doszedł do wniosku, że jednak brak zaproszenia ma swoje dobre strony. Był zmęczony i z przyjemnością myślał o ciszy i spokoju Dorset Court.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W poniedziałek zmieniła się pogoda i od południa zaczęło lać jak z cebra. Lindsey włączyła światło w swoim gabinecie. Nie była w stanie się skoncentrować. Cieszyła ją, że w końcu zdobyła się w stosunku do Marka na uczciwość. On ją naprawdę przytłaczał. Przytłaczała ją sama myśl, że pozwoliła sobie na ten związek. Traciła całe godziny na rozterki i marzenia i przez cały jakiś cichy, wewnętrzny głos powtarzał jej: a może jednak, a może jednak...

Małżeństwo z Jonathanem było doświadczeniem, które nauczyło ją ostrożności. Zamiast budować zamki z piasku, wolała żyć z dnia na dzień, nie snując żadnych odległych planów. Nie miała wątpliwości, że Marko jest właśnie tym kimś, kogo potrzebuje - na razie. Dopóki udawało jej się oddzielać życie rodzinne od zawodowego, związek z nim był najcudowniejszym lekarstwem na jej frustracje. Dzięki Markowi nareszcie poczuła, że żyje, roznosiła ją twórcza energia, cieszyła każdą chwilą - co nie zdarzało się od wielu miesięcy. No dobrze, od lat. Od wielu długich lat - wyszeptwała do siebie w pustym pokoju.

Miała jednak świadomość, że to, co jest dobre dla niej, niekoniecznie musi być dobre dla trójki jej dzieci, które tęsknią za ojcem. Może i brakowało jej doświadczenia, była jednak dostatecznie inteligentna, żeby zdawać sobie sprawę, że młodzi, przystojni, utalentowani i porywcy

artyści na dłuższą metę nie zapewniają kobiecie bezpieczeństwa.

- Weź się w garść - powtarzała sobie, słuchając bębnienia deszczu w okienne szyby.

Musiała porozmawiać z Markiem. Ale przez cały dzień, kiedy była wolna i miała czas na taką rozmowę, on siedział w biurze i zajmował się klientami. A kiedy wrócił do pustego domu, ona miała już na głowie trójkę dzieci. Niczego przecież nie rozwiążą na boisku do baseballu ani w biurze.

O trzeciej wróciły przemoczone dzieciaki, wynajęła więc nastolatkę z sąsiedztwa do opieki nad swoimi pociechami na popołudnie i wczesny wieczór, żeby nikt nie przeszkadzał jej w pracy. O wpół do szóstej zajrzała do dzieci. Siedziały w kuchni i kroily warzywa do obiadu. Kiedy dawała opiekunce numer telefonu Marka, jej serce zaczęło walić jak oszalałe.

- Dlaczego musisz gdzieś jechać, żeby się z nim zobaczyć? Dlaczego on tutaj nie przyjedzie i nie przewiezie mnie swoim samochodem? - narzekał Justin.

- Wyglądałoby na to, że go wykorzystujemy.

- Kiedy wrócisz?

- Postaram się jak najszybciej. Musimy trochę popracować.

- Kiedy pracowałaś z innymi szefami, nie musiały przychodzić do nas opiekunki.

- Wiem, Justinie, wiem. Postaram się wrócić, zanim zaśnie, i dać ci buzi na dobranoc.

- Kiedy zdecydujesz, czy on może mnie trenować?

- spytała Alex, nie przestając obierać marchewki.

- To nie jest dobry pomysł.

- On powiedział, że mógłby i że to zależy od ciebie.

- On jest bardzo zajęty, kochanie. Może po prostu nie chciał cię urazić. Nie wolno przypierać ludzi do muru.

- Alex, to jest szef mamy - Brooke ofuknęła siostrę.

- Nie prosi się szefów, żeby grali z dziećmi w baseball.

- Ale on powiedział, że chce mnie trenować. Wcale nie przez grzeczność!

Marko otworzył drzwi już po pierwszym dzwonku. Był w dżinsach i luźnej bawełnianej koszuli. Za uchem miał zatknięty pędzel.

- A niech mnie diabli... To się nazywa kobieca spontaniczność.

- Pracujesz.

- Wejdz i zobacz.

Tym razem pracownia była jasno oświetlona. Do rysownicy Marko przypiął szkic do broszury, którą zamówiła komisja do spraw energetyki, a na stole położył dokończoną ilustrację ze smokiem. Stali obok siebie i patrzyli na nią w milczeniu.

- Jest piękna...

- To jedna z rzeczy, w których wspólnie zbliżyliśmy się do doskonałości. Kiedy to malowałem, nie opuszczała mnie myśl, że treść tego obrazka musi być jakoś związana z twoimi dziećmi. Bo teraz już wiem, że masz dzieci.

- Wymyślaliśmy razem bajki na dobranoc. Ta o nieśmiałym smoku, który marzył, żeby ludzie się go bali, to moja ulubiona.

Marko bez słowa pokiwał głową.

- Przyjechałam z nadzieją, że uda nam się porozmawiać.

- Masz jakieś kłopoty ze swoim zleceniem?

- Nie. Na wtorek skończę, tak sędę.

- To o czym mamy rozmawiać? Wydawało mi się, że inne sfery twojego życia są tematem zakazanym.

- Postawmy sprawę jasno - westchnęła Lindsey. - To, na czym mi zależy, to zwykłe życie, bez nadmiaru komplikacji.

- Takie, jakie prowadziłaś, zanim dokonałem przełomowego odkrycia.

- Wiem, że nie jesteś w stanie tego zrozumieć. Nie masz dzieci, nic cię nie kępuje. Ale mógłbyś przynajmniej spróbować wczuć się w moją sytuację... To jednak nie był dobry pomysł. Sama już nie wiem, co chciałam powiedzieć.

- A co chciałaś usłyszeć?

- Co będzie dalej? Czy łączy nas coś, czego warto się trzymać? - Lindsey nie doczekała się odpowiedzi. - Powinnam była zadzwonić. Jesteś zapracowany. Przeszkadzam ci.

- Podjął już decyzję, czy mogę trenować Alex?

- Wydaje mi się, że znasz odpowiedź.

- Lindsey, gdybym znał choć jedną odpowiedź na to, co mi się kłębi w głowie, kiedy o tobie myślę, byłbym szczęśliwym człowiekiem.

- Ona chyba podejrzewa, że wzięłam się do jakiejś bardzo trudnej roboty.

- Powiedziałaś jej, że nie będę jej trenerem.

- Że nie możesz nim być.

- Podałaś jakiś powód?

- Marko, czy ty nie widzisz, co się dzieje?

- Oczywiście, że widzę, co się dzieje. Zburzyłem ci święty spokój, bo odwiedziłem cię w domu i odkryłem twoje sekretne życie. Nie proszę o to, żeby stać się jego częścią. Nawet nie jestem pewien, czy się do tego nadaję, ale nie da się już niczego cofnąć. Stało się. Tylko nie rób ze mnie drania w oczach Alex.

- Moje dzieci nie powinny cię interesować. Wiesz, jak bardzo starałam się nie dopuścić do tego, co się stało.

- To musiało być strasznie wyczerpujące.

- Lepiej już pójść. Opiekunka musi wcześniej wyjść.

- Lindsey zerknęła na Marka. Zdawało jej się przez sekundę, że przyciągnie ją do siebie i weźmie w ramiona. Bardzo tego pragnęła.

- Rób, jak chcesz - powiedział beznamiętnym głosem.

O wpół do ósmej Lindsey była już w domu. Kiedy o dziewiątej zapanowała wreszcie cisza, nie wytrzymała rosnącego w niej napięcia i zadzwoniła do Marka.

- Przeszkadzam?

- Słuchaj, Lindsey...

- Marko... - przerwała i roześmiała się. - Nie powinniśmy się rozstawać w taki głupi sposób. Właściwie dzwonię, żeby ci powiedzieć, że twoja ilustracja jest cudowna. Nawet nie zdajesz sprawy, jak niesamowite zrobiła na mnie wrażenie i ile to dla mnie znaczy.

- To praca zespołowa.

- Twój talent uszlachetnił mój prościutki pomysł.

- Ale to ty byłaś natchnieniem.

- Dziękuję, Marko.

- Podoba mi się to, co robimy razem, nawet jeśli nie zgadzam się z twoimi poglądami na życie. - Westchnął głęboko. W jego głosie Lindsey wyczuwała napięcie, ale już bez cienia gniewu.

- Jeżeli zaczniemy rozmawiać o moich poglądach, znowu będziemy się kłócić.

- To prawda. Śpij dobrze. Wiesz, gdzie, według mnie, jest twoje miejsce.

- Dobranoc, Marko.

Lindsey odłożyła słuchawkę. Siedziała nieruchomo przy biurku i wsłuchiwała się w szum deszczu, aż nagle szósty zmysł kazał się jej odwrócić. Rozsunęła drzwi dzielące altanę od pokoju dziennego i zobaczyła córkę przemykającą się na palcach w kierunku schodów.

- Alexandra?
  - Tylko wtedy mnie tak nazywasz, kiedy jestem w dużych kłopotach.
  - Co się z tobą dzieje? Podśluchiwałaś? To do ciebie niepodobne. - Lindsey pokazała palcem kanapę i Alex posłusznie na niej usiadła.
  - Nie mogłam zasnąć.
  - Znowu Brian Hammel? - Lindsey zmiękło serce i spróbowała przytulić Alex, ale ta szybko się odsunęła.
  - Ryan. Ale nie chodzi o mnie, tylko o ciebie.
  - O mnie?
  - O ciebie i pana D'Abruzzię. W zeszłym tygodniu płakałaś przez niego. Myślałam, że to dlatego nie chcesz pozwolić, żeby został moim trenerem. Że nie lubisz dla niego pracować, bo jest niesympatyczny. A ty zostawiasz nas z opiekunką i jeździsz sobie do niego, a jak D'Abruzzi jest gdzieś w pobliżu, to w ogóle przestajesz być sobą.
- Lindsey skamieniała i w milczeniu usiłowała zebrać myśli. Potem kazała Alex wstać i razem poszły na górę.
- Kochanie, Marko i ja pracujemy razem, a niektóre z projektów są naprawdę trudne. Spotykam się z nim, to prawda. Jesteśmy też przyjaciółmi. Trochę to skomplikowane, bo czasami dorośli nie radzą sobie z pewnymi sprawami lepiej od dzieci.
  - Czasami radzą sobie dużo gorzej.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Tydzień włókł się dla Marka nieznośnie. W agencji jakby wszystko się przeciwko niemu sprzysięgło: najpierw jakaś durna korekta, potem nawalił dostawca materiałów poligraficznych, a w końcu drukarnia pomyliła wielkość czcionki. Kiedy zadzwoniła Amanda, musiał wyteńczyć swoje zdolności aktorskie, żeby zapanować nad irytacją w głosie. Opowiedział współpracownikom o Lindsey, szczegółowo opisując jej pracowitość i rozliczne talenty. Musiał ugryźć się w język, żeby nie dodać, że to najbardziej skomplikowana i prowokująca kobieta, z jaką kiedykolwiek miał do czynienia...

W czwartek pokłócił się z Karen o datę płatności za jakąś głupią broszurę i dopiero przy drugiej kawie postanowił przeprosić ją za swoje humory.

- Mam zły dzień - powiedział, zatrzymując się przy jej biurku.
  - Raczej tydzień. Dobrze by ci zrobił powrót Amandy. Albo Lindsey - mruknęła, przyjmując przeprosiny.
  - Jak Lindsey?
- Aż skrzywił się, słysząc jej szydercze prychnięcie.
- Mężczyźni są jak dzieci. Jak na faceta, który uważa się za znawcę kobiet, to zupełnie nie masz pojęcia, jak one na ciebie wpływają.
  - Jestem na nie uodporniony, szczególnie na te, z którymi pracuję.

- Chyba nie wierzysz w to, co mówisz. - Karen odwróciła się do niego plecami i odebrała telefon.

O wpół do dwunastej pojawiła się w biurze Lindsey.

- Kawy? - zapytał Marko, odwracając głowę od komputera.

- Nie, dzięki.

- Usiądź. Za chwilę się tobą zajmę.

Przysiadła na brzegu krzesła. Miała na sobie zielony bawełniany sweter z rękawami podciągniętymi do łokci i żółte spodnie. Czuł na sobie jej magnetyczne spojrzenie, ale kiedy odwrócił się od monitora, uciekła gdzieś wzrokiem. Wręczyła mu profesjonalnie opracowany projekt folderu, załączając nawet rachunek.

- Zadzwonił, jak znajdziesz czas, żeby to przejrzeć.

- Równie dobrze mogę zrobić to teraz. - Pochylił się nad teczką, a Lindsey, wyprostowana sztywno, nie odrywała wzroku od jego twarzy. Od czasu do czasu kiwał głową. - Fantastyczne. Amanda wpadnie w zachwyty. Już jej o tym wspomniałem. Chce jak najszybciej wracać.

- Doceniam te pochlebstwa.

- Mówię poważnie. Miesiąc nieobecności to dla niej strasznie długo, nawet jeśli dwa tygodnie poświęciła na interesy. Chce się koniecznie upewnić, że w twoim przypadku instynkt jej nie zawiodł. - Uniósł głowę. - Ale nie wyglądasz na zbyt przejętą.

- Wiesz - Lindsey westchnęła - dwa tygodnie temu trzęsłabym się ze zdenerwowania się albo przynajmniej trochę niepokoiła.

- A teraz?

- Teraz niepokoję się czymś zupełnie innym.

- Idę na lunch! - Karen zapukała do drzwi. - Odbieraj telefony.

- Dobrze. Zaczęłaś o niepokojach... - zwrócił się do Lindsey.

- Tak. Los tego projektu nie przyprawia mnie o bezsenność. Dobrze nam się razem pracowało. Chcę tylko mieć pewność co do przyszłości.

- Wykonaliśmy razem kawał dobrej roboty. Jesteś znakomita. Nie mam zamiaru ryzykować utraty takiego współpracownika. Podpisuję ten rachunek, ale chcę, żebyś dalej zajmowała się projektem komisji energetycznej. Mogłabyś wynegocjować z Amandą umowę o stałej współpracy. Pomyśl o jakimś rozsądnym honorarium.

- Zawsze jestem rozsądna - odpowiedziała, podnosząc się z krzesła.

Marko uśmiechnął się pierwszy raz. Potem wstał i odprowadził ją do drzwi.

- „Rozsądna” jest ostatnim przymiotnikiem, który przychodzi mi do głowy na twój widok.

- A jakie są pierwsze?

- Bystra, utalentowana, zorganizowana, wykształcona... - wyliczał z przekornym uśmiechem.

- Mów dalej, proszę.

- Kochana, zmysłowa, hipnotyzująca, kusząca, irytująca... - Mimo wiszącego w powietrzu napięcia był dziwnie opanowany i badawczo się jej przyglądał.

- Nie patrz tak na mnie - szepnęła. - Nie mogę zebrać myśli.

- Myśli? Ja nie potrafię już myśleć. Rozpamiętuję wszystko od początku i nie dochodzę do żadnych mądrych wniosków. Jesteś najbardziej spontaniczną kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem, ale otacza cię ta przeklęta aura

tajemnicy... Nie wiem do diabła, co powiedzieć... o myśleniu nawet nie wspominając.

- Co byś powiedział na rozejm? - westchnęła i oparła się o ścianę. - W towarzystwie operowym dali mi dwa bilety na na jutrzejszy spektakl „Cyganerii”. Wybrałbyś się ze mną?

Położył dłonie na ścianie po obu stronach jej głowy i patrzył na nią hipnotyzującym wzrokiem.

- Tak.

Marko stał tak blisko, że niemal dotykał torsem jej piersi.

- Brakowało mi tego.

Jej oddech łaskotał mu wargi, zapach jej perfum wypełnił mu nozdrza.

- Naprawdę? - Zamknął oczy i zobaczył nagą Lindsey stojącą w progu jego sypialni, chwytającą w dłonie światło.

Prześliznął po niej dłońmi i poczuł, jak gwałtownie reaguje na jego dotyk. Zaczął bawić się jej włosami i choć zacisnął zęby, z jego gardła wydobył się zdławiony jęk.

- Och, Lindsey. Jest w tobie coś takiego... Mógłbym cię kochać nawet tutaj, na stojąco.

- Poczekaj do jutra. - Wymknęła się na bok, oddychając ciężko. - Podstawą tego związku jest praca.

- Pocałuj mnie. To najlepsza podstawa wszystkiego.

- Przyparł ją znów do ściany i pocałował. Gwałtownie, zachłannie, niemal brutalnie. Ta kobieta doprowadzała go do szaleństwa. - Piątek wieczór. Ale mam kilka warunków.

- Nie żądasz, żebym spędziła u ciebie całą noc?

- To nigdy nie było żądanie.

- Teraz już wiesz, że mam trzy doskonale uzasadnione powody, dla których musiałam ci odmówić.

- Mógłbym wiedzieć to wcześniej, gdybyś była ze mną szczerą.

- Na pewno to rozumiesz.

- Że nie możesz spędzić u mnie nocy, tak. Reszty nie. Nie rozumiem. Po prostu nie rozumiem. Jutro wieczorem przyjadę po ciebie, a potem odwieżę do domu.

- To jest konieczne.

- Sam potrafię decydować, co jest konieczne. Nie proszę chyba o zbyt wiele. Jesteśmy przyjaciółmi i partnerami w interesach. Żaden z tych układów nie dotknie twoich dzieci, tylko dlatego, że zobaczą mnie w drzwiach.

- Marku, Alex już mnie wypytywała. Podслуchała kilka rozmów telefonicznych i nie wie, co się dzieje. Ja nie...

- Więc pomyśl o tym, do licha. W twoim najlepszym interesie leży, żeby dzieci widziały w tobie pełną trójwymiarową osobę. Pracujesz, bawisz się, masz mężczyzn współpracowników i przyjaciół. Tak jak one. Nie chcąc mieć chyba matki wymykającej się z domu na potajemnie...

- Robisz ze mnie potwora.

- Nie mam zamiaru majaczyć gdzieś na horyzoncie jako tajemniczy facet, który porywa im matkę nie wiadomo dokąd. Wiem, co kombinujesz. Prawdopodobnie niczego im nie wyjaśniłaś, zadzwoniłaś tylko po opiekunkę. Więc zgadzasz się albo nie? Będę o wpół do siódmej. Wystarczy nam czasu, żeby przed przedstawieniem zjeść kolację gdzieś niedaleko opery albo, jeśli będziesz miała ochotę, skoczyć do mnie na bajeczny seans miłosny. Twój wybór. - Uśmiechnął się na widok jej rumieńca i rozbieganych oczu

- Coś jeszcze?

- Mnóstwo, ale reszta może poczekać. Przynajmniej

będziemy mieli o czym rozmawiać przez jakiś czas. Bo w końcu sprawy zawodowe szybko nam się znudzą, a reszta twojego życia jest dla mnie strefą zakazaną. *Cosi*, jak by powiedziała moja matka,

- *CosP*. Przetłumacz, proszę.
- A więc tak. Postanowione.

Kiedy w piątek dwadzieścia pięć po szóstej Lindsey otworzyła drzwi frontowe, wyraz matczynej troski zgasił jej uśmiech. Justin, który bawił się z kolegami na ulicy, na widok znajomego czerwonego auta natychmiast popędził rowerem na podjazd, a teraz wsłuchiwał się zachłannie w każde słowo Marka.

Długo oglądali samochód, w końcu odwrócili się i razem ruszyli do domu. Justin, umorusany od stóp do głów, i Marko, w wytwornym, krojonym na miarę ciemnym garniturze i w bladoniebieskiej koszuli ze znajomym kratwatem.

Lindsey stała na progu w szmaragdowej sukience, tej samej, w której wystąpiła na balu w młynie. Uśmiechała się, widząc, jakie wrażenie zrobiła na Marku.

- Zobacz, mamo, kto przyjechał!
- Cześć, Marko.
- Ale niespodzianka, prawda, mamo?
- Nie uprzedziłaś ich? - Marko spoglądała to na chłopca, to na jego matkę.
- Justin, w kuchni jest Jill z dziewczynkami. - Odwróciła się do Marka. - Oczywiście wiedzą, że wychodzę.
- Po prostu pominęłaś kilka szczegółów.

Za plecami Lindsey pojawiły się Alex, Brooke oraz ich opiekunka.

- Zdaje się, że nie wybieracie się do pracy... - Alex jednym zdaniem oceniła sytuację.

- Byłem tu niedaleko i pomyślałem, że może wasza mama zechce wybrać się do opery.

- Do opery? Lepiej zostań u nas. - Justin odwrócił się do matki. - Wtedy mógłbym się przejechać. Pozwól mi go poprosić, proszę cię, mamusi...

- Nie, kochanie. A teraz zmykaj.

- Oboje jesteście wystrojeni. To ma być randka? - Justin spoglądał raz na jedno z nich, raz na drugie.

- Nie bądź głupi. Mama nie umawia się na randki. - Brooke szturchnęła go w zebro.

- To ja zabieram Marka do opery. - Lindsey uśmiechnęła się. - Po prostu jedziemy jego samochodem. - Pocałowała Justina, przekazała ostatnie instrukcje opiekunce i w końcu wyszli z Markiem do samochodu.

- Nawet nie powiedziałaś im, że po ciebie przyjadę? Może byłoby lepiej, gdybyś przespacerowała się ulicę dalej i poczekała na mnie pod drzewem?

- Przestań się czepiać.

- Nie będę ryzykował, żeby nie zepsuć wieczoru. To przez tę „panią Russell”. Ciągle nie mogę się przyzwycząić. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak ty sobie z tym wszystkim radzisz. Dzieci są wspaniałe, to fakt, ale to chyba strasznie wyczerpujące.

- Mam też mnóstwo powodów do satysfakcji - odpowiedziała niecierpliwie.

- Nie wątpię.

- Obejdę się bez twojego sarkazmu.

- To nie był sarkazm. To tylko podtrzymywanie rozmowy o sprawach, na których kompletnie się nie znam. Zresztą trochę za wcześnie na słowne przepychanki.

Szczególnie w tej sukience. Sukience, którą miałaś na sobie tamtego wieczoru.

- A jaki będzie ten wieczór?
- Wolno mi zaproponować, żebyśmy ruszyli prosto do Dorset Court i zdjęli ją jeszcze raz?
- Kolacja, D'Abruzzi.

#### ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Usiedli w małej francuskiej restauracji w zacisznym kącie sali. Kiedy Marko przysuwał Lindsey krzesło, prześliznął dłonią po rękawie jej sukienki... Ich pierwszy raz. Nieproszone obrazy, jeden po drugim, zaczęły wyłaniać się z pamięci. Faktura tkaniny, którą czuł w tańcu, ta jedwabistość pod dłońmi, kiedy całował Lindsey, aksamitna, rozgrzana skóra pod sukienką... Poczuł, że płoną mu policzki. Podniecenie, do jakiego doprowadziła go własna wyobraźnia, stało się kłępujące.

Lindsey przymknęła oczy, walcząc z bólem głowy i pleców.

- Za dużo pracy w ogródku - wyjaśniła, widząc zmartwioną minę Marka. - I za duże poczucie winy.
- Poczucie winy?
- Nie ma co udawać. Sądziłam, że ten związek będzie łatwiejszy - mruknęła, sącząc aperitif.
- Możesz mi wierzyć lub nie, ale ty naprawdę nie należysz do ludzi zdolnych prowadzić podwójne życie. Jesteś cudowną kobietą, Lindsey, brakuje ci tylko jednej ważnej cechy, która łagodzi bóle głowy.
- Uważasz, że to właściwa pora na wykłady?
- Nigdy bym z tym nie wyskoczył, gdybym nie spędził dzisiaj kilku chwil z twoimi dziećmi. Dlaczego potrafisz zrozumieć to, czego ty nie pojmujesz?
- Moje dzieci...



- Twoje dzieci oczekują odpowiedzi na kilka pytań. Chciałyby mi zaufać.
- Marko!
- Są zdezorientowane. Do diabła, Lindsey, kim ja dla ciebie jestem? Jeśli dzieci nie doczekają się odpowiedzi od dorosłych, same sobie wszystko poskładają. Chcę, żebyś mi zaufała. One też tego chcą.
- Zaufać ci w czym?
- Na początek zaufaj mi i pozwól, żebym trenował Alex, parę razy w tygodniu, bez opowieści, że zagrozi to naszemu związkowi albo spokojowi twojej córki. Ona nie może zrozumieć, dlaczego nie chcę tego dla niej zrobić.
- Powiedziałam jej, że jesteś bardzo zajęty.
- A więc skłamałaś.
- Marko!
- Mówię poważnie, Lindsey. Pragnę cię bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety w moim życiu, ale nie chcę stawać między tobą a Alex.
- Czy ty nie widzisz, co się dzieje?
- Widzę rozczarowaną małą dziewczynkę, która nie rozumie, dlaczego facet, dla którego pracuje jej mama, nie chce kilka razy w tygodniu porzucać razem z nią piłkę. Mówiłem ci już: nie chcę, żebyś robiła ze mnie drania. Nie będziesz okłamywała Alex w moim imieniu, do cholery. Wziąłem na siebie ciężar twojego kręactwa. A to boli.
- Lindsey potarła skronie i zjadła odrobinę sałatki. Łzy cisnęły się jej do oczu. Zakłęła cichutko po nosem.
- Nie płacz. Chcę tylko, żebyś o tym pomyślała.
- Teoretycznie wszystko wydawało się tak dobrze przemyślane. Próbowałam trzymać cię z daleka od naszego domu, bo nie chciałam, żeby któryś z moich dzieci

- robiło kiedyś to co ja ... Masz rację. Wymykałam się chyłkiem, kłamałam, kręciłam.
- Nie bądź dla siebie taka surowa.
- Seks po kryjomu, bez żadnych zobowiązań... Wstydzę się za siebie... To stało się zbyt szybko, nie starczało czasu na myślenie...
- Dobrze się czujesz? - Marko zaniepokoił się, widząc, jak Lindsey przygryza wargi.
- Musimy porozmawiać.
- Dobrze, ale chyba coś bardzo cię boli. Czujesz się coraz gorzej, prawda?
- Musiałam nadwężyć kręgosłup, ból jest straszny.
- Lindsey ścisnęła Marka za rękę, a na jej górnej wardze pojawiły się kropelki potu.
- Zawiozę cię do domu. - Marko pomógł jej wstać.
- Chyba tak będzie lepiej. Przepraszam... - Kiedy Marko rozmawiał z kelnerem, uścisk jej rąk zyskał siłę imadła, a słowa przeciskały się przez zgrzytające zęby. - W domu nie poczuję się lepiej. Mógłbyś zawieźć mnie do szpitala? Miałam już taki atak, kiedy byłam w ciąży z bliźniakami. Cholera... to nie może być nic innego.
- Lindsey! Jesteś w ciąży? Czy to poronienie?
- Kamienie nerkowe.

Marko zatrzymał się na podjeździe w York Road o wpół do jedenastej i przez dłuższą chwilę siedział z głową opartą na kierownicy. Zmaganie się z Lindsey Major, knąbrną, twórczą autorką, było niczym w porównaniu ze zmaganiem się z Lindsey Russell, cierpiącą, chorą matką trojga dzieci. Stał u jej boku w izbie przyjęć, przeszukując portfel w poszukiwaniu karty ubezpieczeniowej. Jej ból wwiercał się w jego mózg i rozsadał mu czaszkę. Zaci-

skając zęby, wyrzucała z siebie kolejne strzępy instrukcji, nalegając, żeby wszystkie zapisał. W kieszeni trzymał pogniecioną kartkę papieru z pozbawionymi większego sensu, nieskładnymi bazgrołami:

„Jill Crenshaw; Betsy O'Hare; pasy w samochodzie; Justin - witaminy; Alex - mecz baseballowy, sob. godz.13; ciasteczka na przyjęcie Brooke”.

Z pewnością dodałaby jeszcze kilka następnych poleceń, ale proszek przeciwbólowy prawie ją znokautował. Lekarz, z którym rozmawiał, był bardzo rzeczowy: Lindsey zostanie w szpitalu, dopóki nie pozbędzie się kamienia. Kiedy poczuje się lepiej, przeprowadzą serię badań i urografię. Marko wyszedł ze szpitala z jej zieloną sukienką na ramieniu i skórzanymi sandałami w dłoni.

Przebudził się nagle, kompletnie zdezorientowany. Sen uciekał od niego przez wiele godzin, ale w końcu nadzedł. Teraz z lękiem otworzył oczy. Rozmazane małe postaci wyostrzyły się i zobaczył przed sobą Alex, Justina i Brooke. Stali z kamiennymi twarzami nad łóżkiem, w którym powinna spać ich mama, i patrzyli na niego.

- Cześć - powiedział i usiadł, zakrywając się kołdrą.

- Gdzie jest nasza mama? - zapytał Justin.

- Gdzie jest Jill? - spytała jego bliźniacza siostra.

Alex, błada jak ściana, podniosła z krzesła zieloną sukienkę.

Marko przecierał oczy i mierzwił włosy, szukając właściwych słów.

- Wasza mama ma się już dobrze. Miała atak kamieni nerkowych, a teraz jest w szpitalu.

Dolna warga Brooke zaczęła niebezpiecznie drżeć.

- Dzieci, naprawdę nic jej nie będzie. Pojedziemy zo-

baczyć się z nią. - Najspokojniej i najprościej, jak tylko potrafił, opowiedział im, co się wydarzyło i jak czuje się ich mama. Zdziałało, bo warga Brooke powróciła do normalnego stanu. - Wczoraj wieczorem, kiedy już upewniłem się, że wasza mama miewa się lepiej, przyjechałem opowiedzieć wszystko Jill i zapytałem ją, czy może opiekować się wami przez kilka dni.

- Crenshawowie wyjeżdżają dziś do Wirginii. Jill nam powiedziała. - Warga Brooke znowu zaczęła się trząść.

- Mnie też to powiedziała - potwierdził Marko. - I macie szczęście. Ja ją zastąpię. - Żadne z dzieci nie wyglądało na szczególnie uszczęśliwione. - Wiesz, Justinie, tak naprawdę miałem ochotę spać w twoim piętrowym łóżku, ale bałem się, że przestraszę cię w środku nocy. Kiedy byłem w twoim wieku, zawsze marzyłem o takim łóżku. Ale nikt mi go nie kupił.

- Dorośli zawsze plotą jakieś historie ze swojego dzieciństwa - mruknęła Alex do Brooke.

- Spójrzmy, która to godzina. - Marko zerknął mętłym wzrokiem na budzik Lindsey. - Piętnaście po szóstej... - Mimo zmęczenia i napięcia, zdołał obdarzyć dzieci pocieszającym uśmiechem. - Nie mam chyba szans na to, żeby namówić was do pospania jeszcze przez parę godzin? Trudno. Więc teraz pewnie czas się ubrać.

- W sobotę jemy w piżamach.

- I oglądamy kreskówki.

- Skoro to nie jest zwyczajna sobota, dzieci dostaną też coś innego niż zwyczajne śniadanie.

- Gdzie?

- W Casa D'Abruzzi, oczywiście. Musimy tam pojechać moim samochodem i pewnie złożymy w nim dach.

- Fantastycznie - zapiszczał Justin, ale po chwili po-smutniał.

- Wiem, o czym sobie przypomniałeś. Ale w tych oko-licznościach twoja mama nie będzie miała nic przeciwko temu.

- Obiecujesz?

- Zaraz do niej zadzwonimy.

Marko kazał całej trójce ubrać się, a sam zanurzył się jeszcze na moment w pościeli. Patrzył na pastelowe ścia-ny, fotografie, książki na nocnym stoliku. Pokój Lindsey, rzeczy Lindsey, życie Lindsey. Drugie życie. Zamknął oczy i wciągnął w nozdrza jej intymny zapach. Los rzucił go w sam środek tego wszystkiego, do czego Lindsey nie chciała go dopuścić - a nic nie przemawiało za tym, że pod jej nieobecność Marko będzie w stanie zapanować nad tym chaosem. Dłonie spocily mu się ze zdenerwo-wania.

Piętnaście po siódmej dzieci siedziały ubrane przed telewizorem, a Marko dzwonił do szpitala. Gdy pielęgniarzki połączyły go z pokojem Lindsey, zaczął mówić naj-spokojniejszym głosem, na jaki potrafił się zdobyć.

- To nie Jill... - Gdy uporał się z pierwszą sprawą, Lindsey upomniała go, że powinien ściągnąć Betsy.

- Nawrzeszczysz na mnie, kiedy wrócisz zdrowa do domu. Nie znalazłem żadnych przeciwwskazań, żeby nie wziąć obowiązków opiekunki na siebie. Mam nawet upiec ciasteczka. Zmuszają mnie do tego.

- Marko, nie upieraj się - odpowiedziała słabym gło-sem Lindsey. - Nie dasz sobie rady. Dzieci doprowadzą cię do obłędu.

- Albo mnie polubią. I tego boisz się najbardziej.

- Zadzwon do Betsy.

- Cała gromadka ma się świetnie. A między nami też się jakoś ułoży. Mówiąc prawdę, podobasz mi się taka. Zbyt oszołomiona, żeby się kłócić.

- Daj mi Alex - mruknęła.

Marko rozparł się na kanapie i obserwował, jak dzieci, z nosami spuszczone na kwintę, kolejno podchodzą do telefonu i powoli się rozchmurzają.

Potem Brooke przypominała mu o zamrożonych ciaste-czkach. Wyjął je z lodówki, zebrał dzieciaki i po chwili jego sportowy samochód opuszczał York Road.

- Gotowi ruszyć na poszukiwanie przygód?

Dzieci w milczeniu spojrzały na jego nie ogoloną twarz.

Jechał do Dorset Mills z wyjątkowo umiarkowaną prędkością, a dzieci wystawiały na wiatr swoje buzie. Na-wet nie podejrzewały, że za każdym razem, gdy musiał zatrzymać samochód na czerwonym świetle, złościł się, że jest nie ogolony, nie uczesany i ubrany w garnitur, który włożył na wczorajszy wieczór.

Zaparkował na swoim zwykłym miejscu i gdy tylko wyłączył stacyjkę, Justin wychylił się z tylnego siedzenia.

- Hej! Tutaj mieszkał kiedyś nasz tata!

Dziewczynki nie odezwały się ani słowem.

- Zapomniałem. Słuchajcie, poczekajcie tu chwilę. Wezmę trochę rzeczy i przeniesiemy się z powrotem do was.

- Chcę zobaczyć twój dom.

- Nie wydaje mi się...

- Wszystko w porządku - powiedziała Alex. - Na-prawdę.

W zaciszu łazienki Marko przyglądał się odbiciu swo-

jego zamaskowanego warstwą piany oblicza. Od rana miał wrażenie, że czeka go prawdziwy tor przeszkód, ale wreszcie je pokonał. Może bez wielkiego wdzięku, ale ciągle trzymał się na nogach.

- Nie jest źle... - mruknął pod nosem i w tej samej sekundzie otworzyły się drzwi łazienki.
- Brooke chce jeszcze jednego grejpfruta - powiedział z progu Justin.
- Powiedz jej, żeby sobie wzięła. Wszystkie są już obrane.
- Zanim zdążył wyjąć z szuflady brzytwę, chłopak znów wpadł do łazienki.
- Golisz się?
- Tak...
- Mama goli nogi.
- Kobiety to robią. Ciężko ci się mieszka z tyloma dziewczynami?
- Zależy.
- Ja mieszkalem z trzema siostrami i mamą. I też miałem tylko jedną łazienkę.
- O rany... - Justin podszedł krok bliżej. - A miałeś tatę?
- Miałem. Ciągle mam. To wspaniały facet.
- Mój tata pozwalał mi się golić razem z nim, kiedy zostawałem u niego na noc.
- Pewnie ci tego brakuje.
- Zawsze robiliśmy dużo fajnych rzeczy, kiedy u niego nocowałem.
- Może i nam uda się wymyślić coś fajnego. Spędzimy razem trochę czasu, dopóki wasza mama nie wyzdrowieje.
- Czy ona naprawdę wróci do domu? - Justin nagle spochmurniał.

Marko przykleknął na jedno kolano i położył ręce na wątych ramionach Justina.

- Wróci najszybciej, jak będzie to możliwe. Teraz bardzo cierpi, Jus, ale wszystko będzie dobrze.

Chłopiec walczył ze łzami.

- Nigdy bym cię nie okłamywał. Pojedziemy ją odwiedzić, jeśli nam pozwolą, a potem przywieziemy ją do do mu, kiedy już będzie na to gotowa.

Chłopiec wytarł oczy rękawem koszuli, a Marko wysunął szufladę toaletki i znalazł starą brzytwę. Usunął ostrze, otworzył małą dłoń Justina i wycisnął na nią porcję kremu do golenia. Potem przyniósł z sypialni krzesło i pomógł mu na nie wejść..

Stali obok siebie przed lustrem. Marko podniósł podbródek i szeroko otworzył usta, przeciągając brzytwą po pokrytym pianą policzku. Chłopiec naśladował każdy jego gest, aż do wklepywania w policzki płynu po goleniu.

- Kobiety lubią, kiedy ładnie pachniemy - wyjaśnił Marko.

Justin zeskoczył z krzesła i ruszył do drzwi, ale raptem zatrzymał się.

- Panie Bruzzi, myśli pan, że będzie pan kiedyś chciał ładnie pachnieć dla mojej mamy?

- Mów do mnie Marko. I idź po jeszcze jedną chrupiącą bułeczkę.

Pytanie chłopca pozostało bez odpowiedzi.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

- Jestem gotów. - Marko wkroczył do salonu, gdzie zastał całą trójkę młodych Russellów. - Teraz potrzebuję piekarza do ciasteczek, a potem, jeśli zechcecie, możecie obejrzeć moją pracownię.

Alex uczepliła się jego łokcia.

- Skoro zajmujesz się nami przez cały dzień, to może potrenujesz ze mną trochę przed meczem?

- Jasne, jak tylko skończymy piec ciasteczka dla Brooke.

- Nie jesteś zbyt zajęty? Mama mówiła...

- Myślała, że się nie zgodzę. - Marko uklęknął przed dziewczynką. - A ja naprawdę chcę cię trenować i mam na to czas.

Alex w milczeniu pokiwała głową i podniosła jego rysunek. Oglądała go z szeroko otwartymi oczami.

- To nasza historia o smoku. Pomagaliśmy mamie ją wymyślić.

- O tym też mi opowiedziała. Pracowaliśmy razem nad tą ilustracją.

- Jesteś fantastycznym artystą. Możecie z tego zrobić książkę. Zdobędziecie sławę - dodała Brooke.

Marko roześmiał się i pokazał im wszystko, czego używa w pracy, od palety z farbami po gips potrzebny do przygotowania płócien. Na koniec wyciągnął z szuflady ryzę papieru.

- Czy ktoś wie, komu spodobałaby się namalowana przez was kartka z pozdrowieniami?

Rysowali z dziecięcą zawziętością, która zwyczajnie wzruszyła Marka. Potem dał im czas na dokończenie dzieła, a sam wycofał się do kuchni, żeby pozmywać naczynia i upiec ciastka.

- Panie Bruzzi...? - usłyszał głos Justina.

- Nie byłoby łatwiej nazywać mnie Markiem, kolego?

- Mógłbyś narysować mi smoka? Takiego, którego mógłbym mieć u siebie w pokoju?

- Jasne, ale może przydałaby mi się jakaś pomoc?

- Dobrze rysuję kredkami. - Na twarzy chłopca rozkwitł promienny uśmiech.

Następny telefon do szpitala pozwolił ustalić plan gry na popołudnie. Lindsey pozbyła się już kamienia, ale czekała ją cała masa badań, które mogły przeciągnąć się do wieczora. Gdyby jednak wszystko poszło sprawnie, byłaby wolna w porze obiadowej. Pora obiadu... Rano ten dzień wydawał się długi jak stulecie. A teraz Marko wątpił, czy starczy mu czasu na wszystko, co zaplanował.

Upiekli ciasteczka i odłożyli na bok sporą porcję na deser po lunchu. Potem wykończyli swoje kartki i pokolorowali transparent powitalny, który Marko wyczarował w swoim komputerze i wydrukował. Kiedy wyszli wreszcie z domu, Justin pierwszy pomknął do samochodu.

- Zamawiam przednie siedzenie! - wrzasnęła za nim Brooke.

- Nie ma mowy. Na przednim siedzeniu siadają chłopcy. A dziewczynki z tyłu.

- Mamy taki kawał drogi do przebycia, że każdy będzie mógł posiedzieć tam, gdzie sobie życzy. Do York

Road chłopcy z przodu - mruknął do Justina przez ramię.  
- Brooke pojedzie z przodu na mecz Alex. Alex usiądzie z przodu w drodze powrotnej do domu.

- A kiedy będziemy wieźli do domu mamę - powiedziała z uśmiechem Alex - to ona zajmie przednie siedzenie.

- Będzie naszym gościem honorowym - potwierdził Marko, skracając w drogę prowadzącą do York Road.

Po południu wiał przyjemny ciepły wietrzyk i od czasu do czasu kłębiaste obłoczki zasłaniały majowe słońce. Wspaniały dzień na piknik, oznajmił Marko, zdziwiony entuzjastyczną reakcją dzieci, gdy zaproponował, żeby po drodze na boisko zaopatrzyć się w cztery porcje kurczaka na wynos.

Wybrali miejsce na górze, to samo, w którym Marko znalazł Lindsey podczas swojej pierwszej wycieczki do Myer's Field. Wydawało mu się, że minęły całe tygodnie, całe życie od czasów, gdy nie miał pojęcia o istnieniu tej trójki urwisów z rozczochranymi włosami. Patrzył, jak jedzą, przysłuchiwał się ich żartom, i uświadomił sobie, że cały jego poranny niepokój już dawno minął.

- To może teraz potrenujemy? - zaproponowała Alex, kiedy posprzątali po lunchu.

Marko przykazał Brooke i Justinowi, żeby nie znikali mu z oczu i nie opuszczali placu zabaw. I dokładnie im pokazał, gdzie mają go szukać - za ławką po wschodniej stronie boiska.

- Będę na was patrzył co kilka minut - dodał. - Zielona koszula. - Zmierzył włosy Justina. - I niebieska kurtka. - To samo spotkało Brooke.

Po kolejnej wysokiej piłce Marko zaczął się zastana-

wiać, o czym opowie Amandzie. Nie wiedział, do jakiego stopnia ta niespodziewana przygoda będzie zrozumiała dla jego współpracownicy, która pojawi się w poniedziałek rano w biurze... Przygoda. Złapał piłkę. To słowo nawet w przybliżeniu nie oddawało tego, co się działo między nim a Lindsey.

Posłał Alex kilka szcurek po trawie. Zerknął na bliźniaki. Zielona koszula, niebieska kurtka, przypomniał sobie. Brooke była akurat na szczycie zjeżdżalni, a Justin szalał na obręczach. Po dziesięciu minutach etatowy trener zwołał zespół na ćwiczenia uderzeń kijem. Alex ruszyła ku stanowisku uderzającego, ale po kilku krokach zatrzymała się i odwróciła.

- Dzięki - zawołała. - Jesteś naprawdę fantastyczny.

- Ty też, dziecinko!

Zielona koszula, niebieska kurtka. Odszukał bliźniaki i rzucił się na koc. Niebieska kurtka. Brooke stała teraz z dwiema innymi dziewczynkami przy koślawym piknikowym stoliku. Zielona koszula, zielona koszula... Namierzył blondyna na zjeżdżalni. To nie był Justin. Marko zerwał się na równe nogi. Taka sama koszula, ale inne dziecko. Serce tłukło mu się w piersi. Czy przez cały czas pilnował innego dziecka? Ale Brooke zauważyłaby... Usiadł, żeby ochłonąć, uważnie przeczesując wzrokiem tłum dzieci.

Kiedy rozpoczął się mecz, podszedł do Brooke, która przedstawiła go Harringtonom, rodzicom swojej koleżanki, obserwującym grę z krzeseł ustawionych na trawniku. Zmusił się, żeby jego głos zabrzmiał naturalnie.

- Widziałaś Justina?

Brooke odeszła od stolika i spojrzała na Marka zmieszana. Nie znalazła brata wśród dzieci.

- Może schował się między oponami...

Obeszli razem cały plac zabaw, wołając i rozpytujac się dzieci. I nic. Marko odprowadził Brooke z powrotem do przyjaciół, wymuszając na niej obietnicę, że nie ruszy się z miejsca, i pobiegł do lasku za placem zabaw. Żadnej zielonej koszuli. Zaczął przemierzać cały teren tam i z powrotem. Starał się myśleć jak sześciolatek. Potem jak matka sześciolatka. Co zrobiłaby Lindsey? Wrócił do Brooke i poprosił ją, żeby jeszcze przez kilka minut została z Harringtonami, którym szybko wyjaśnił sytuację. Potem powlókł się do samochodu, z zamiarem przeszukania okolicznych ulic.

Ten przerażający lęk był jeszcze gorszy od tego wszystkiego, co przeżył wczoraj, kiedy patrzył na cierpiącą Lindsey. Przez chwilę przyglądał się rzędom samochodów i odnalazł wzrokiem swój, zaparkowany między pikapem a kombi. Raziło go odbijające się od maski słońce i dopiero kilka metrów przed zderzakiem zauważył lśniąca w ostrym świetle jasnà czuprynę.

- Justin! - Marko podszedł do kabrioletu, a chłopiec wyprostował się na tylnym siedzeniu i już prawie płakał. - Kto ci pozwolił... Wynocha stąd!

Chłopiec wstał całkiem blady, wspiął się na drzwi, a sekundę później spadł na kolana na chodnik. Marko zbliżył się, zdążył zobaczyć grozę w jego oczach, i w tej samej chwili Justin zaczął rozdzierająco szlochać.

- Niczego nie zepsułem - wyjąkał Justin.

- Przeraziłeś mnie na śmierć. Skąd się tu wziąłeś? Prosiłem przecież, żebyś nie schodził mi z oczu. Szukałem cię nawet w lesie. Mówiłem...

- Zrobiło mi się zimno. Przyszedłem po swoją kurtkę... - tłumaczyło dziecko ledwie słyszalnym szeptem.

- Nigdzie nie mogłem znaleźć Brooke ani ciebie. Zgubiłście się. Nigdzie was nie było! - krztusił się łzami. - Nie było was! Niczego nie dotykałem! Siadłem tylko na tylnym siedzeniu, żeby wziąć swoją kurtkę. Po prostu siedziałem sobie w twoim samochodzie.

- Chodziłem po całym lesie i szukałem cię... - Nic innego nie przychodziło Markowi do głowy. Zamiast mówić, wyściskał go i posadził na masce samochodu. - Szukałem ciebie.

Justin przytulił głowę do jego piersi.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Lindsey najpierw ich usłyszała. Znajome radosne głosy rozbrzmiewały w korytarzu prowadzącym do windy.

- Założę się, że śpi.
- Nie bądź głupi. Czekaj na nas.
- Ale ona jest naprawdę chora.
- Już nie. Marko mówił, że już nie ma kamienia, pamiętasz?
- Myślisz, że pozwolą jej to włożyć do dzbanka?
- To przecież ledwo widać. Pamiętasz rysunek Marka? Malutka kropeczka.
- Marko mówi, żeby być cicho. Zepsujesz niespodziankę.

„Marko, Marko, Marko...” Lindsey siadła na brzegu łóżka i przygryzła wargi. A więc ta krucha równowaga, nad którą tak ciężko pracowała, usiłując podzielić uczucia między swoich najdroższych, zwyczajnie przestała istnieć. Uśmiechnęła się, ale myśl o przyszłości na nowo odebrała jej oddech.

- No dobrze, towarzystwo, i o to chodzi. A teraz przy pomnijcie sobie, co ćwiczyliście.

Na dźwięk znajomego barytonu, z lekkim bostońskim akcentem, Lindsey natychmiast się ożywiła.

- Niespodzianka! - wyszeptaly chórem dzieci, tłocząc się w progu.

- Ojej... Jesteście czyste. Wesołe. Czyje to dzieci?
- Złapała się za głowę w udawanym zdziwieniu.
- Twoje, mamo - odpowiedziała Brooke.
- Żadnych meczów dzisiaj? Ani placu zabaw?
- Mecz był wspaniały, mamo. Wygraliśmy. W życiu nie widziałas takiej wysokiej, szybującej piłki, jaką dzisiaj złapałam, z dwoma chłopakami na bazie. - Alex wręczyła jej rysunki.

Justin rzucił na łóżko wiązankę wiosennych kwiatów w szeleszczącym papierze.

- Marko kazał nam wziąć prysznic i czysto się ubrać, to wszystko. Pokazał nam, jak zrobić te rysunki. I kupił kwiaty na dole. Powiedział, że dziewczyny lubią takie rzeczy. Pozwolił nam rysować w swojej pracowni. On naprawdę dobrze rysuje.

- Wiem, kochanie.
- Upiekliśmy moje ciasteczka i zjedliśmy ich trochę na lunch.

- Przywieźliśmy ci ubranie - dodała Alex. - Marko tak się denerwował, grzebiąc w twoich rzeczach, że sama musiałam wszystko wybrać. Od razu wiedziałam, co wziąć.

Lindsey otworzyła ramiona i przygarnęła dzieci, a ponad ich głowami patrzyła na Marka oczami pełnymi łez.

- Tęskniłam za wami.
- My też za tobą tęskniliśmy. One za tobą tęskniły
- poprawił się szybko.
- W domu jest więcej niespodzianek - dodał Justin.
- Nie będzie żadnej, jeśli wszystko wypaplasz - upomniała go Alex.



Lindsey ubrała się w dzinsy i swój ulubiony sweter, który znalazła w papierowej torbie razem z butami. Została wypisana ze szpitala, wepchnięta na przednie siedzenie samochodu i zasypana tysiącem pytań. Tak, urodziła już ten kamień. Tak, to bardzo boli. Tak, lekarstwa jej pomogły, i tak, jest zmęczona, ale tak w ogóle, to czuje się już świetnie.

Potem wysłuchała relacji z meczu baseballowego i zawiłej opowieści o tym, jak Justin poszedł po kurtkę i zgubił się na tylnym siedzeniu samochodu Marka. Marko prowadził, co chwila wtrącając swoje trzy grosze i drocząc się z nią. A Lindsey wydało się to wszystko dziwnie, niebezpiecznie naturalne.

Do York Road dojechali o zmierzchu i Lindsey zdała sobie sprawę, że nie ma pomysłu na ciąg dalszy... Słowa pożegnania wypowiedziane przed domem? Zobaczymy się w poniedziałek w biurze? Zostań na obiad przed odjazdem?

- Nigdy nie zgadniesz, co jedliśmy na lunch. Kurczaka na wynos. Marko ciągle to je. I nie zgadniesz, co jest na kolację. Marko robi taki sam słodko-kwaśny sos, jak ty, mamusiu. Teraz będziemy go mieszać na patelni. Ja pomagam - opowiadał Justin.

- Pomyślałem, że zostanę do wieczora, aż dzieci położą się spać. Przyda ci się pomoc - tłumaczył czule Marko, kiedy dzieci pobiegły do domu.

- Sama nie wiem. Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł. - Lindsey zatrzymała się na schodkach przy kuchennym wejściu.

Nawet w półmroku zmierzchu nie mogła nie zauważyć błysku rozczarowania na twarzy Marka.

- Trzymając się twojego sposobu myślenia, katastrofa

już nastąpiła. Mury runęły. Przykro mi, że twoja opiekunka akurat musiała wyjechać, ale tak się stało. Dzisiaj twoje dzieci były zdane na mnie. Od bladego świtu robiłem, co mogłem, żeby trzymać je na dystans. Byłem szorstki i podły, tylko po to, żeby te najważniejsze dla ciebie granice nie zostały przekroczone. Prawdopodobnie nie mogą się doczekać chwili, kiedy zniknę im z oczu.

- Marko, nie o to mi chodziło...

- Dobrze wiem, o co ci chodziło. Dochodzi siódma. Twoje dzieci umierają z głodu. Wejdz do domu i zjedz z nami obiad. Z nimi. Klócić się ze mną możesz potem. Poczekam.

- Nie chcę się klócić.

- Więc choć raz w życiu dotrzyмай obietnicy, bo inaczej zamknę ci usta namiętym pocałunkiem na oczach całej trójki.

Dom pachniał sosem autorstwa Marka. Obiad podały do stołu dzieci - smażony ryż, zieloną fasolkę, groszek i wołowinę w słodko-kwaśnym sosie. Alex przystroiła stół kwiatami, a na ścianie pokoju stołowego rozpięli namalowany na komputerowym papierze transparent z napisem: „Witaj w domu, Mamo”.

Rozmawiali głównie o dniu spędzonym z Markiem. Lindsey słuchała tego wszystkiego z bolesną świadomością, że dzieci weszły z nim w przyjacielską komitywę.

O wpół do dziewiątej cała czwórka zaprowadziła ją do sypialni. Zastała w niej czyste ręczniki i pościel, a na nocnym stoliku świeże kwiaty. Rzuciła się na łóżko w ubraniu, a dzieci podały jej deser i parującą filizankę ziołowej herbaty. Piła, słuchając dochodzącego z dołu pobrzękiwania talerzy i zastawy stołowej, bo Marko zarządził zmywanie.

Kiedy dzieci pojawiły się znowu, cała trójka była już przebrana do snu.

Lindsey odprowadziła córki do ich pokoju, wysłuchała wieczornej modlitwy, przykryła je i pocałowała na dobranoc.

- Jesteś wściekła, że Marko mnie dziś trenował? - zapytała Alex. - Dużo mnie nauczył. On wcale nie jest zły. Jest naprawdę miły i powiedział, że znajdzie czas, żeby ze mną ćwiczyć.

- Nie jestem wściekła. Powinnam być mu wdzięczna, że się wami zajął.

- To znaczy, że będzie mógł mnie znowu trenować?

- Zobaczymy.

- Nie znoszę, kiedy dorośli tak mówią. To zawsze znaczy: nie.

- To znaczy, że zobaczymy. Dobranoc, kochanie.

Justin stał na taborecie i przypatrywał się swoim zębom w lustrze.

- Są już prawie tak czyste, jak trzeba, kolego - ocenił Marko.

- Raz, dwa, trzy i idziemy do łóżka - wtrąciła się Lindsey.

- Dziś rano się goliłem! - pochwalił się Justin, ogłą dając brodę. - Marko pozwolił mi używać swojej brzytwy, tak jak tato. A potem smarowaliśmy się pachnącą wodą.

- To znaczy płynem po goleniu?

- Jasne! - Chłopiec zeskoczył z taboretu. - Mamusiu, czy według ciebie Marko ładnie pachnie?

- Czas do łóżka, chłopie. - Marko wstał.

- Pachnie jak trzeba. - Lindsey smutno westchnęła.

- Dziewczyny lubią pachnącą wodę, no nie? - Justin odwrócił się do Marka.

Lindsey patrzyła, jak jej syn wciska rączkę w potężną dłoń Marka.

- Czy on nie może się u nas przespać? W moim pokoju jest dużo miejsca. A on zawsze marzył o piętrowym łóżku. Może dziś spać na moim, nawet na gorze.

- Nie sądzę, kochanie...

- Ale on musi spać tutaj, żeby zaopiekować się nami, gdybyś znowu musiała jechać do szpitala.

- Chodź, chłopie. - Marko spojrzał na Lindsey ponad głową Justina. - Wpakuję cię do łóżka. Zawsze możesz do mnie zadzwonić.

Zgasili światło i podeszli do łóżka. Rysunek zionącego ogniem i gubiącego łuski smoka wisiał na korkowej tablicy za biurkiem chłopca.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Kiedy w pokojach dzieci wszystkie światła zostały już pogaszone, Marko zszedł za Lindsey na dół. Był kompletnie wykończony i z przyjemnością myślał o powrocie do domu.

- Zaraz wychodzę. Chyba powinienem. Przedtem jednak porozmawiamy.

- Rzeczywiście dużo jest do omówienia.

Wszedł za Lindsey do pokoju stołowego, ale nie usiadł.

- Nie planowałem tego, Lindsey. Nigdy nie spodziewałbym się ani połowy tego, co wydarzyło się dzisiaj. Przyjechałem do twojego domu, śmiertelnie przerażony, jeśli już zależy ci na prawdzie, i czułem się kompletnie nie na miejscu. Nie wiem, co dzieciaki ci naopowiadają, kiedy nie będzie mnie w pobliżu, ale dowiedziałem się dziś o sobie przynajmniej tyle samo, ile o nich.

- Widać, że są w świetnej formie i dziękuję ci za to.

- Znam cię, Lindsey. Jestem pewny, że leżałaś w tym szpitalnym łóżku i przez cały czas martwiłaś się o dzieci.

- Masz rację. Przez całe godziny myślałam i myślałam. O tym, jak egoistycznie się zachowywałam. Ta historia z tobą była cudowną przygodą, ale ja parlałam do przodu jak oghupiała dwudziestolatka, która myśli tylko o sobie...

- Jeszcze bardziej zniżyła głos i nachyliła się ku niemu.

- Zduszę w końcu to pragnienie, które sprawia, że zachowuję się tak niepoważnie. Potrzebuję cię i jako przyjaciela,

i jako partnera w interesach, ale dla moich dzieci nie możesz być facetem, który pojawia się i znika, nie wiadomo kiedy i nie wiadomo dlaczego. One do tego nie dorosły.

- W takich układach to naturalna rzecz.

- Ale to są moje dzieci. Dla ciebie to był tylko jeden dzień, o którym możesz zapomnieć. I o dzieciach wkrótce zapomnisz. A jeżeli zaczną spodziewać się ciebie w każdy weekend, na każdym meczu baseballu? Nie zasłużyły sobie na więcej cierpień.

Naga prawda sączyła w serce Marka, powodując atak bólu pod mostkiem. Starał się go zignorować.

- Rozumiem. Powinienem uznać za pochlebstwo to, że jesteś rozdarta między swoimi zasadami a pożądaniem.

- Marko, opamiętałam się i zrozumiałam swój błąd. W moim życiu są dużo ważniejsze rzeczy niż... - zamilkła, szukając właściwego określenia - namiętna pokusa, czekająca mnie w biurze, gdzie powinnam pracować!

- Jaka pokusa?

- Doskonale wiesz, jaka. Wymykanie się do Dorset Court już nie wystarczało. Niewiele brakowało, a ... właśnie w twoim biurze... na stojąco. Marko, skończyłam z tym szaleństwem.

- Posłuchaj, coś, co daje i tobie, i mnie tyle przyjemności, musi opierać się na czymś więcej niż na szaleństwie. - Pocałował ją delikatnie i cofnął się o krok. - Lindsey, twoje dzieci i ta rozmowa kompletnie mnie wykończyły. Jadę do domu, tak, jak sobie życzyłaś. Pamiętaj, co powiedziałem Justinowi. Jestem do waszej dyspozycji, zawsze można do mnie zadzwonić. Zawsze, kiedy ty albo dzieci będziecie mnie potrzebowali.

- Dziękuję. - Jej oczy błyszczały od napływających łez.

Chociaż do nastroju Lindsey pasowałyby lepiej rześista ulewa, niedzielny świt okazał się pogodny i rześki. Jak zawsze pojechała z dziećmi do kościoła, a potem zjedli wspólnie lunch. Cała trójka bawiła się z przyjaciółmi aż do czwartej, kiedy przypomnieli sobie o ciasteczkach... i o tym, że upiekł je Marko.

Dzień zakończyły kąpiele, bajeczki i w końcu trójka zmęczonych dzieciaków wgramoliła się do łóżek. Justin zasnął ostatni, marudząc z zamkniętymi oczami, że chciałby znowu golić się z Markiem.

- Chcemy wielu różnych rzeczy - odpowiedziała mu cicho Lindsey, całując zmięzwione włosy synka.

Ubrała się w nocną koszulę, nalała do szklanki sherry i położyła się przed telewizorem. Na dźwięk cichego stukania do drzwi frontowych szybko usiadła. Wstała i zapaliła światło. Na ceglanych schodkach stał Marko D'Abruzzi, jaskrawo ubrany, jak tamtej niedzieli, gdy go poznała. Miał na sobie znoszone spodnie khaki, rozpiętą niebieską bluzę, a pod nią hawajską koszulkę. Drżącymi dłońmi dotknęła gardła. Uchyliła drzwi.

- Nie za późno na krótkie odwiedziny? - Marko wyglądał na speszonego. - Wiedziałem, że nie mogę liczyć na twoją wizytę, poczekałem więc, aż dzieci położą się spać.

- Marko, nie powinieneś.
- Sąsiedzi? - Odwrócił się na pięcie.
- Sąsiedzi nie mają z tym nic wspólnego.
- Kołaczące serce, galopująca w żyłach krew, spocone dłonie?

- Na miłość boską, przestań! - Lindsey otworzyła szerzej drzwi.

- Mówiłem o sobie. - Głos mu się załamał i zaczął

pożerać Lindsey wzrokiem. - Miałem nadzieję, że porozmawiamy.

- Już rozmawialiśmy.

- Nie, teraz ja będę mówił. A ty będziesz słuchała...

- Położył dłonie na jej ramionach. - To, co po wczorajszym dniu nawiedzało mnie przez całą noc, a potem obudziło mnie rano, po raz pierwszy nie było twoim obrazem. To były one, twoje dzieci. - Nagle zdjął bluzę i rzucił ją Lindsey. - Włóż to, jeżeli masz zamiar stać w progu.

Narzuciła bluzę na ramiona i zarumieniła się.

- Obudzisz dzieci. Jeśli koniecznie chcesz teraz ze mną rozmawiać, przejdźmy do gabinetu. - Poprowadziła go obok kanapy do rozsuwanych drzwi. Kiedy weszli do altanki, zasunęła je za sobą.

- Zawsze próbowałem sobie wyobrazić, gdzie pracujesz, dokąd jedziesz, kiedy się ze mną rozstajesz. Taka intrygująca, niezależna, samotna kobieta, bez zmartwień i obowiązków. - Przesunął dłoń po rękawie swojej koszuli, a potem dotknął policzka Lindsey. - I nagle poznałem troje bardzo różnych małych ludzi z charakterem, którzy potrzebują odpowiedzi na kilka pytań. Oczekują ode mnie czegoś więcej, nie wystarczy im ten jeden dzień. Bawiliśmy się wesoło, jedliśmy dobre rzeczy. Zanosiliśmy się śmiechem. Naprawdę powinienem się w końcu dobrze wyspać, ale nic z tego nie wyjdzie, dopóki czegoś nie ustalimy. Wracanie do Dorset Mills, jak gdyby nic się nie zmieniło, jest śmieszne.

- Ale przecież już wszystko ustaliliśmy.

- Nie ustaliliśmy niczego, co miałyby jakiś związek z twoim prawdziwym życiem. Nie udało nam się stłumić ognia, który trawi nas oboje. - Marko pogładził Lindsey po włosach. - Kiedy cię poznałem, pasowałaś do wszy-

stkich marzeń, jakie snułem o kobietach. Nie stawiałaś żądań, brałaś to, co ci dawałem, i nie prosiłaś o więcej, niż sama dawałaś. Na początku i mnie podobał się taki układ. Ale nie da się uciec przed faktem, że i ty, i ja jesteśmy odpowiedzialni nie tylko za siebie, ale i za te dzieci. Dlaczego, do diabła, nasze życie przestało być doskonałe? Bo dzięki tobie dowiedziałem się najważniejszej rzeczy o sobie. Wywołujesz we mnie pragnienie, które jest coraz głębsze, za każdym razem, kiedy się ze mną kochasz. Ale myślałem, że to pragnienie rodzi się gdzieś, dokąd nigdy nie uda mi się dotrzeć. A jednak dotarłem tam, Lindsey. Znalazłem to miejsce. Kocham cię. Chcę kochać cię całą.

- Kochasz?

- Tak, w taki sposób, w jaki i ty mogłabyś mnie kochać, bezgranicznie, totalnie.

- A jeśli się nie uda? Jeśli podejmiemy tę straszną decyzję i zapłacą za to dzieci?

- To już się udało. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Musisz tylko otworzyć oczy i swoje przestraszone serce. To, w co się bawisz, nie jest miłością. Dostałem twoje ciało, ale pragnę też serca, a ty pragniesz mojego., - Uśmiechnął się. - Kochamy się i razem wszystko nam się uda. Możemy sprawić, że trójka pozbawionych ojca dzieci pozna tę spokojną stabilizację, którą tak sobie cenisz.

- Miłość...

- Miłość. Od pierwszego wejrzenia aż po grobową deskę. Wyjdź za mnie i żyjmy szczęśliwie aż do końca naszych dni. Taka miłość istnieje. Dzięki niej chcesz wziąć w ramiona trójkę małych dzieci, żeby czuły się bezpiecznie. I chcesz kochać się z ich matką... - pochylił się i pocałował Lindsey, mocno, głęboko, tak jak zawsze - ... na stojąco.

- Marko, to ważna decyzja - wymruczała Lindsey, nie odrywając warg od jego ust.

- Jestem gotowy. I ty też, kochanie, jesteś gotowa, otwórz tylko swoje oczy i serce.

- Kocham cię, Marko. Alex, Brooke i Justin też cię chyba pokochali. Tak mi się przynajmniej wydaje. I to mnie przeraża.

- Nie rozczaruję was... - Zaczął pieścić jej okryte miękką bawełną piersi.

- Wierzę ci, Marko.

- Czy Amanda nie...

- Nie mów jej nic! Ani jednego słowa!

- I znowu to samo! Wydajesz mi polecenia - westchnął.

- Mam jeszcze jedno polecenie dla ciebie. - Lindsey odchyliła się w lewo, zamknęła drzwi, a potem zarzuciła Markowi ręce na szyję i wyszeptwała: - Na stojąco.